

KARINA BONOWICZ

GDZIE  
DIABEŁ  
MÓWI  
DOBRANOC



TOM PIERWSZY

KSIĘŻYC JEST  
PIERWSZYM UMARŁYM

Copyright © 2019 KARINA BONOWICZ  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: PIOTR CHOJNACKI

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Wykonanie ilustracji okładkowej: DOMINIK BRONIEK

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-62577-96-5



Wydawnictwo INITIUM

[www.initium.pl](http://www.initium.pl)

e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)

[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A.

KARINA BONOWICZ

GDZIE  
DIABEŁ  
MÓWI  
DOBRANOC

TOM PIERWSZY

KSIĘŻYC JEST  
PIERWSZYM UMARŁYM

*A w nidziele, w nidziele, poszło dziewczce po ziele.  
Wzieno z sobo snopek nić i zaczyna wionek wić.  
Przyszedł do niej jakiś pon, był to z piekła som szaton.*

Kapela ze Wsi Warszawa, *Baba w piekle*



KRAKÓW 2019

# Rozdział pierwszy

– Ta książka nie jest chyba odpowiednia dla kogoś w twoim wieku?

Okładka *Carrie* Stephena Kinga obniżyła się powoli.

– To samo mogę powiedzieć o pani T-shircie.

Alicja ruchem głowy pokazała na biało-różowy top współpasażerki z wielkim, ozdobionym srebrnymi cekinami napisem LOVE, biegnącym tuż pod biustem, do którego dostępu broniły napięte do granic możliwości trzy białe guziczki.

Kobieta, która bardzo dawno temu skończyła szkołę średnią, tylko chyba tego nie zauważyła, zaczęła działać jej na nerwy już dziesięć minut po wyjeździe pociągu z Warszawy. Po tych dziesięciu minutach Alicja dowiedziała się, że pani Lucyna, która woli, żeby mówić do niej Roxana (przez x!), bo nie cierpi swojego imienia z dowodu, jedzie odwiedzić chłopaka, którego poznała przez internet, a minął już miesiąc, od kiedy rozwiódła się z mężem, który oprócz tego, że był, oczywiście, draniem i miał bardzo pospolite imię Henryk, to jeszcze był spod znaku Skorpiona, co absolutnie gryzło się z tym, że ona jest spod znaku Wodnika, dlatego małżeństwo nie miało żadnych szans na przetrwanie, a tak w ogóle to lubi sushi, tylko zupełnie nie rozumie, dlaczego w restauracji trzeba jeść je pałeczkami, skoro w zestawie

z Biedronki nie ma dołączonych pałeczek, a zęby najlepiej posmarować wazeliną, żeby się nie przyklejały do ust i... tak dalej, i tak dalej.

Alicja, mimo że wcisnęła słuchawki empetrójki do uszu najgłębiej, jak tylko mogła, zupełnie ignorując groźbę ogłuchnięcia (choć w tym momencie właściwie nie miałyby nic przeciwko), i mimo że rozkręcony na maksa Till Lindemann z Rammsteina wydzierał się wniebogłosy, wciąż słyszała jazgot współpasażerki przypominający ostrzenie tępych noży. Najpierw kierowany do niej, później do różowego, jakżeby inaczej, smartfona, który chyba też nie wytrzymał napięcia, bo rozładował się kwadrans później, co wymusiło na współpasażerke chwilowe i zupełnie niezamierzone śluby milczenia, i sięgnięcie po kolorowe czasopismo, które co prawda wertowała głośno, ale za to już bez akompaniamentu własnego słowotoku. Alicja uznała, że czas zaryzykować i wyjąć słuchawki z obolałych uszu, a z plecaka – książkę. Niestety, pani Lucyna, to znaczy Roxana, nie mogła się powstrzymać od komentarza.

A teraz siedziała z otwartymi ustami, wyglądając przy tym mało, a właściwie jeszcze mniej inteligentnie i nadymając się tak bardzo, że Alicja mimowolnie zmarszczyła czoło, gdy zastanawiała się, czy guziki broniące dostępu do biustu Lucyny, to znaczy Roxany, puszcza teraz, czy jednak trochę później. Bo na razie trzymały się całkiem nieźle. Jakim cudem? Alicja wpatrywała się w skupieniu w guzik na samej górze.

Dziwne...

Powinien już dawno puścić.

No puść...

Puść w końcu, powtarzała uparcie w myślach, marszcząc czoło coraz bardziej i nie spuszczać oczu z guzika. Puść, do jasnej cholery!

Guzik puścił.

Najpierw jeden.

Potem drugi.

I na końcu trzeci.

Alicja zamarła.

Tego się nie spodziewała.

Zagryzła wargi, żeby nie parsknąć śmiechem. Kobieta spojrzała w dół na odsłonięty stanik. Oczywiście, był różowy. Alicja wykorzystała ten moment i szybko sięgnęła po płócienny plecak, po czym wrzuciła do niego książkę, nie-dojedzoną paczkę chipsów i butelkę coli i mocno ściągnęła sznurek. Jednym ruchem zdjęła walizkę z górnej półki. Plecak przerzuciła przez ramię, kurtkę owinęła wokół bioder, w uszy włożyła słuchawki i ruszyła do wyjścia. Jej współpasażerka wciąż siedziała z otwartymi ustami, więc dziewczyna zawahała się, odwróciła i wyjęła jedną słuchawkę z ucha.

– Aha, dla pani wiadomości: robią je też w pani rozmiarze. – Pokazała głową na koszmarne T-shirt, po czym szybko włożyła słuchawkę w ucho i zatrzasnęła drzwi przedziału.

Resztę podróży może spędzić na korytarzu. Nie ma problemu. Zresztą, według jej obliczeń – spojrzała jeszcze raz na zegar w komórce – powinna być na miejscu mniej więcej za dziesięć minut. Opuściła szybko i wychyli-

ła się, żeby lepiej zobaczyć, gdzie się znajduje. Nawet nie zauważyła, że zmienił się krajobraz. Kiedy ostatni raz wyglądała przez okno, jej zaspane oczy widziały betonową Warszawę. A teraz czekały na nią ciągnące się w nieskończoność pasy zieleni przedzielane polami. Zupełnie jak na podrasowanej w Photoshopie pocztówce. Albo jak w jakimś programie przyrodniczym. Alicja czekała już tylko na to, aż z głośników popłynie głos Krystyny Czubówny. Każdy na jej miejscu byłby zachwycony podkarpackimi widokami. Ale nie Alicja. Nie ona... Skrzywiła się. Wołała beton i szkło. Wieżowce. Blokowiska. McDonalda. Korki. Zatłoczone stacje metra. A teraz... Jak to się stało, że dziewczyna, która większość swojego siedemnastoletniego życia spędziła w dużych miastach, jedzie prosto do miejsca, gdzie z pewnością diabeł mówi dobranoc? I to nie na żadną wycieczkę krajoznawczą, ale żeby spędzić tam resztę swojego nieletniego życia. Tak przynajmniej ustaliła. Jak tylko stanie się pełnoletnia, będzie mogła robić, co chce. A robienie tego, co się chce, zakłada również mieszkanie tam, gdzie się chce. Na razie jednak...

Jak przez mgłę pamiętała gabinet dyrektorki, która wywołała ją z biologii. Na podłodze leżał czerwony dywan. Miał wgniecenia od nóg krzesła i czarną okrągłą plamę, która wyglądała na wypaloną papierosem. Dziwne. Dyrektorka przecież nie paliła. Alicjo, zdarzył się wypadek... Doszło do zderzenia czołowego... Samochód odbił się od barierki... Kierowca był trzeźwy... Twoi rodzice... Karet-

ka przyjechała natychmiast... Niestety, nie udało się... Czy jest ktoś, do kogo możemy zadzwonić? Czy ktoś może cię odebrać ze szkoły? Czy ktoś...

Przyjechała ciotka Mela. To znaczy Manuela. Nie zносиła swojego imienia, dlatego nawet we wszelkich możliwych urzędach podpisywała się jako Mela, robiąc sobie przy tej okazji mnóstwo problemów. Ciotka Mela była – według rodziców Alicji – jedyną godną zaufania osobą, która mogłaby zająć się ich córką podczas ich nieobecności. A tych było naprawdę dużo. Rodzice byli lekarzami: mama – kardiochirurgiem, tata – transplantologiem. Oboje mieli opinię znakomitych fachowców, więc ich życie, a co za tym idzie, życie Alicji, toczyło się od jednej delegacji do drugiej. W międzyczasie tata coś przeszczepił, a mama uratowała kogoś przed zawałem, po nim, a niekiedy i w trakcie. Kiedy mogli, zabierali ze sobą Alicję. Ale czasami Alicja musiała dla odmiany pochodzić trochę do szkoły, więc zatrzymywali się gdzieś na chwilę. A potem gdzieś indziej. Też na chwilę. W podbramkowej sytuacji Alicja lądowała u ciotki Meli. Oczywiście, ciotka Mela nie była żadną ciotką, tylko koleżanką rodziców. I to wyjątkowo wygodną koleżanką, bo choć była jak rodzice Alicji doktorem, to – w przeciwieństwie do nich – „jedyne” habilitowanym. I miała niewiele wspólnego ze stetoskopem. Tłumaczyła z rosyjskiego, białoruskiego, ukraińskiego czy jakiegoś innego wschodniosłowiańskiego języka, który dla większości ludzi brzmi mniej więcej tak samo jak trzy poprzednie. Jej całe życie wypełniało przekładanie jednych robaczek – jak Alicja nazywała



śmieszne literki w notatkach ciotki – na inne robaczki, więc siedziała kamieniem w domu. Zawsze. Dlatego też zawsze można było tam zostawić Alicję na przechowanie. W ostateczności, rzecz jasna. Na szczęście tych ostateczności nie było wcale tak wiele. Inaczej Alicja z pewnością by umarła. Z nudów. I przejedzenia. I braku telewizji. Bo ciotka Mela tak przejmowała się rolą ciotki, że codziennie robiła Alicji stos kanapek do szkoły, jakby nikt jej nie wytłumaczył na matematyce, że dwa i dwieście to nie to samo, sprawdzała wszystkie zeszyty i nie pozwalała oglądać do późna telewizji, bo po dwudziestej drugiej jest tam na pewno sama przemoc i niegodziwość. O nieprawych łóżach nie wspominając. Jakby nie wiedziała, że w internecie jest wszystkiego pod dostatkiem, i to o każdej porze. Alicja nie była jednak pewna, czy internet ciotki nie jest przypadkiem w cyrylicy...

Alicja poczuła, że pociąg zwalnia. Odetchnęła głęboko. Nerwowo poprawiła plecak na ramieniu. Więc to już? Miliard lat świetlnych od Warszawy. I od ciotki Meli. Przynajmniej tyle dobrego. Nie, no... Ciotka nie była taka zła, nawet jeśli codziennie zmuszała Alicję do zjedzenia śniadania złożonego z tylu potraw, ile powinno znaleźć się na wigilijnym stole. W sumie nic złego, gdyby nie to, że Alicja o wpół do siódmej rano była w stanie przyjąć jedynie kawę albo płatki z mlekiem, tyle że z pominięciem płatków. No a teraz... Ciotka Mela nie miała żadnych wątpliwości, że opieka nad dziewczyną przypadnie właśnie jej i będzie to czysta formalność. Alicja też tak myślała. Ale wtedy okazało się, że z dwojga rodziców, rzekomo jedynaków, jedynakiem był wyłącznie ojciec. I tak

Alicja nieoczekiwanie dorobiła się kolejnej ciotki. Tym razem prawdziwej. A wraz z nią sądowego postanowienia o przyznaniu opieki nad nieletnią Alicją jedynej żyjącej krewnej – siostrze matki, która nie tylko była bardzo, bardzo żyjąca, ale i żyjąca na samym końcu świata. W miasteczku Czarcisław gdzieś na Podkarpaciu. Koniec świata. A przynajmniej koniec Polski. Dla Alicji był to jeszcze jeden koniec. Koniec jej życia. Przynajmniej na razie.

– Wsiadasz czy nie? – usłyszała za sobą czyjś zniecierpliwiony głos.

– Wsiadam, wsiadam... – mruknęła i przesunęła nogą walizkę.

Alicja wyjęła słuchawki z uszu i rozejrzała się. Dworzec kolejowy wcale nie wyglądał lepiej niż przez zaparowane okno pociągu. Stała w samym środku niczego. Po drugiej stronie stacji rosła trawa. Dużo trawy. Alicja westchnęła. Czekać tylko, aż przez tory przespacerują się kozy. Albo owce. Albo jedno i drugie. A na koniec baca z wszystkich istniejących dowcipów o bacy. Nagle jej wzrok padł na kobietę, która stała oparta o ścianę stacji z podkurczoną jedną nogą. Paliła w pośpiechu papierosa, jakby miał być ostatnim w jej życiu. To musiała być ciotka Tatiana. Nawet jeśli Alicja nie widziała jej nigdy na oczy, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Bo wyglądała zupełnie jak jej mama. I jak sama Alicja. Ciemna karnacja, lekko skośne oczy i długie, ciemne, proste włosy, związane w dokładnie taki sam niedbały węzeł na karku. Ciotka Tatiana chyba właśnie pomyślała to samo na widok Alicji, bo szybko przydeptała papierosa butem.

– Hej, ty jesteś Alicja, prawda? – zawołała lekko chrapliwym głosem. – Jestem Tatiana. Tylko nie mów do mnie Tania, bo tego nie znoszę. Możesz mówić Taja, jeśli Tatiana jest za długie.

Zanim Alicja zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, ciotka Tatiana, albo, jak kto woli, Taja, nie przerywając paplaniny, objęła ją ramieniem i mocno poklepała po plecach. Stanowczo za mocno. Może uznała, że tak będzie cool... Alicja jęknęła w duchu i wysunęła się z objęć ciotki.

– Nie powinnaś być... stara? – spytała bez ogródek.

– Mnie też miło cię widzieć – odcięła się Tatiana, unosząc wysoko brew.

Alicja pomyślała, że robi to dokładnie tak samo jak ona. I jej mama. No tak, w końcu są siostrami. To znaczy były... Zdecydowanie nie tak wyobrażała sobie ciotkę. Oczami wyobraźni widziała raczej starszą panią w koku, nierozstającą się z koszykiem z kulkami na mole, włóczką i burym kotem w środku. Tymczasem ciotka miała na sobie zwykle tenisówki, jeansy i szary T-shirt. Tyle że nadgarstki oplatały jej dziwaczne rzemienie i plecione bransoletki. Alicja pomyślała, że takie rzeczy nosiło się chyba z dziesięć lat temu, ale czego można było się spodziewać po Czarcisławiu. Nawet moda musi, siłą rzeczy, docierać na koniec świata z dużym opóźnieniem. Na szyi ciotka miała jakieś wisiorki, ale nie wiadomo, jak wyglądały, bo wszystkie były włożone pod koszulkę. I... Zaraz... Czy to tatuaż? Bez wątpienia ciotka miała coś wytatuowane na ramieniu, ale Alicja nie mogła dopatrzeć się, co to takiego, bo spod rękawa wychynał tylko nic niemówiący fragment.

– Czego się spodziewałaś? – Tatiana uśmiechnęła się ironicznie. – Że będę nosić dziergany sweter i okulary na łańcuszku? Sorry, że cię rozczarowałam. Chodź, zaparkowałam z drugiej strony. – Chwyliła za rączkę walizki. – Jezu Chryste! Co ty tam masz? – jęknęła.

– Nic – burknęła Alicja. – Książki.

– Książki?! Nie słyszałaś o e-bookach?

Alicja wykrzywiła usta i przewróciła oczami. W samochodzie ciotki, o którym Alicja była w stanie powiedzieć tylko tyle, że jest czarny i zakurzony, wałało się mnóstwo pustych plastikowych butelek po energizerach i czuć było papierosami. I waniliową choinką zapachową. Alicja zauważyła też coś, co ją bardzo ucieszyło. W bocznej kieszeni drzwi upchnięty był papierowy kubek po kawie i zgnieciona torebka po frytkach. Oznaczało to, że a) ciotka – w przeciwieństwie do rodziców Alicji i częściowo ciotki Meli – nie ma świra na punkcie zdrowej żywności, b) na tym zadupiu jest McDonald’s. Albo przynajmniej jakaś jego imitacja.

– Zapnij pas – mruknęła Tatiana, wsuwając papierosa między zęby. Zapięła swój, po czym sięgnęła po zapalniczkę. Zaciągnęła się mocno i mimowolnie zerknęła na przyglądającą się jej Alicję.

– O, sorry. – Natychmiast wyrzuciła papierosa przez okno, choć zrobiła to z nieukrywanym żalem.

– Spoko. – Alicja prawie się roześmiała. – Wiem, jak wygląda papieros. I powiem ci coś jeszcze – zniżyła głos. – Wiem też, jak smakuje.

– Nie chcę nic o tym wiedzieć! – Tatiana wymierzyła w siostrzenicę palec wskazujący.

– Kiepsko to zabrzmiało. Spróbuj jeszcze raz.

Tatiana parsknęła śmiechem i przekręciła klucz w stacyjce. Alicja zapięła pas i podciągnęła nogi.

– Hej! Opuść je, ale już! – wrzasnęła ciotka.

Alicja niechętnie opuściła nogi i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ile ty właściwie masz lat? – spytała po chwili, przyglądając się ciotce.

– Dwadzieścia sześć. Dla ciebie to chyba jestem już prawie martwa, nie?

– Co?

– Dla nastolatka każdy, kto skończył dwadzieścia lat, jest stary, nie?

Alicja wzruszyła ramionami i odwróciła się do okna. Po chwili przymknęła oczy. Mdlilo ją od tych sielskich widoków, które – mimo że był początek października – wciąż wyglądały tak, jakby właśnie kończyło się lato. Kiedy otworzyła oczy, od razu zerknęła na zegar w komórce. Minęło jakieś pół godziny. Tylko tyle jechały? Alicja odwróciła się do szyby. Lekko starty napis na zielonej tablicy głosił, że wjeżdżają do Czarcisławia. Dziwna nazwa... Alicja uśmiechnęła się mimowolnie. Jak komuś mogło w ogóle przyjść do głowy coś takiego? Trzeba być niezłe porąbanym, żeby wymyślić taką nazwę...

Miasteczko wyglądało dość przygnębiająco. Przynajmniej dla niej. Wszystkie budynki były takie... niskie.

Miała wrażenie, że znajduje się w samym środku jakiejś inżynierskiej makiety. Albo miasteczka z klocków Lego. Domy wyglądały – i to dosłownie! – jak chatki z piernika. Niektóre miały drewniane okiennice. Nawet te najstarsze, które pamiętały chyba ubiegłe stulecia, pomalowane były na cukierkowe kolory, przez co Alicji wydawało się, że za chwilę usłyszy krzyk Jasia i Małgosi wsuwanych właśnie do pieca. Do tego wszystko było w wersji mini. Maleńkie uliczki, chodniczki, skwerki z maleńkimi, a jakże!, ławeczkami. Nie dało się tego opisać inaczej niż tylko przy pomocy zdrobnień, których Alicja szczerze nie znosiła. Przywykła do warszawskich blokowisk, wieżowców i atmosfery metropolii i nie mogła sobie wyobrazić, że ktoś mógłby tu mieszkać z własnej woli. A to co, do licha? Od kiedy kościół wygląda jak chatka Baby Jagi?

– To cerkiew – mruknęła ciotka.

No tak. Cerkiew. Czyli szanse na spotkanie Jasia i Małgosi albo Czerwonego Kapturka rosną.

Co jakiś czas pojawiali się też ludzie, których Alicja spodziewała się prędzej zobaczyć w skansenie niż na ulicy. Jak ta kobieta w kwiecistych chustkach na głowie, z naręczem jakichś badyli albo najprawdziwszym chrustem. Wyglądała tak, jakby miała sobie za moment zrobić z niego miotłę do latania. Albo ten facet niosący jak gdyby nigdy nic siekierę na ramieniu. Mógł przed chwilą rąbać drewno, ale równie dobrze obcinać palce przyłapanym na gorącym uczynku złodziejom. Alicja poczuła się nieswojo. Bardzo nieswojo. Nic dziwnego, że mama tak szybko dała stąd nogę

i już nigdy nie wróciła. Ale co, do licha, robił tu ktoś taki jak ciotka Tatiana? Powinna mieszkać w Warszawie. Pracować w salonie tatuażu albo robić piercingi nastolatkom, które ukrywają je potem do osiemnastki przed rodzicami. Alicja uśmiechnęła się do siebie. Tak właśnie wyobrażała sobie poznaną przed czterdziestoma minutami ciotkę. Obie tu nie pasowały. A jednak obie są właśnie tutaj. Jedna z własnej, druga z cudzej woli.

– Wstąpimy jeszcze do sklepu, OK? – Tatiana skrzywiła się nagle i zatrzymała się na parkingu przed niewielkim supermarketem. Albo czymś, co udawało supermarket. – Muszę... to znaczy musimy kupić kilka rzeczy. – Uśmiechnęła się.

– Jasne – mruknęła Alicja i odpięła pas. Nie mogła uwierzyć, że mają tutaj prawdziwy sklep samoobsługowy. Może nawet dostanie tu wiśniową coca-colę...

Ciotka Tatiana chwyciła koszyk i od razu poszła do działu z mrożonkami. Sądząc po liczbie pudełek zapiekanki i pizzy, gotowanie nie było jej mocną stroną. Alicja włożyła do koszyka wodę mineralną, żeby zachować pozory, że nie ma obsesji na punkcie cukru, a zaraz po niej paczkę chipsów i dwa czekoladowe batony. Colę wcisnęła na samo dno. Oczywiście, nie było wiśniowej. Rozejrzała się w poszukiwaniu ciotki. Kiedy zobaczyła ją przy nabiale, skrzywiła się szybko za puszkami z fasolą. Jakaś starsza kobieta w chustce syknęła cicho, mijając ją, a potem przeżegnała się ukradkiem. Alicja stanęła jak wryta. Co jest? Przecież jej nie potrafiła ani nic takiego. Spojrzała

w dół. O co chodzi? Coś nie tak z jej wyglądem? Przecież ma na sobie zupełnie zwyczajne trampki, jeansy i czarną koszulkę. Żadnych kolczyków w nosie, różowych włosów czy tatuaży na szyi. Odwróciła się, ale kobieta zniknęła już za półką z sokami.

– Co jest? – Ciotka Tatiana wyrosła jak spod ziemi. – Co tam masz? – Zajrzała do koszyka Alicji. – No no... nie próżnowałaś. – Podniosła głowę na Alicję, która wciąż patrzyła na półkę z sokami. – O co chodzi?

– Ta kobieta... Dlaczego zrobiła znak krzyża na mój widok?

Tatiana odwróciła się w stronę, w którą wciąż patrzyła Alicja.

– Jaka kobieta?

– Stara. W chustce.

Tatiana zawahała się, po czym odłożyła koszyk i odwróciła Alicję do siebie, kładąc jej ręce na ramionach.

– Posłuchaj. Wiem, że to dla ciebie trochę... dziwne, ale musisz się do tego przyzwyczaić.

– Przyzwyczaić? Do czego?

– Tak to właśnie tutaj wygląda. Tutaj ludzie wciąż wierzą, że czosnek odstrasza nie tylko komary, ale i upiory, a włożenie ciuchów na lewą stronę odczynia urok. Nic nie poradzisz. Jesteśmy dokładnie w punkcie przecięcia kultur. Rano idziesz do kościoła, a po powrocie wkładasz siekierę pod łóżko. Proste?

– Nie mówisz chyba poważnie... – Alicja coraz bardziej marszczyła czoło. Miała wrażenie, że się przesłyszała.



– Mówię śmiertelnie poważnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że ci ludzie, którzy, jak zakładam, wiedzą, do czego służy telefon i komputer, wracają po pracy do domu, włączają telewizor i mikrofalówkę, a potem wkładają ciuchy na lewą stronę, bo ktoś na nich krzywo spojrział?

– Nooo... Coś w tym stylu.

– Dzieci też wkładają na trzy zdrowaśki do pieca, zamiast podać antybiotyki?

– O tym akurat nic mi nie wiadomo, ale kto wie? – Tatiana mrugnęła do Alicji i sięgnęła po koszyk. – Idziemy!

Alicja nie ruszyła się z miejsca. Stała wciąż osłupiała.

– Powiedziałam idziemy!

Kiedy pakowały zakupy do reklamówek, Alicja poczuła na sobie czyjś palący wzrok. Przy rozsuwanych drzwiach sklepu stała ta sama starsza kobieta w chustce. Kiedy ich oczy się spotkały, momentalnie spuściła wzrok i zaczęła poprawiać chustkę.

– Hej, jeszcze to! – Ciotka Tatiana pomachała jej przed nosem ostatnią mrożoną pizzą.

Alicja dopchnęła ją do pozostałych mrozonek i szybko odwróciła głowę w stronę drzwi, ale kobiety już nie było. Poczula zimny pot na karku. I nie miał on nic wspólnego z dwiema reklamówkami mrozonek, które właśnie niosła do samochodu.



– Voilà! – zawołała Tatiana. – Jesteśmy na miejscu.

Alicja wysiadła i stanęła naprzeciwko domu, który – jak

się mogła jedynie domyślić – był domem jej dziadków, jej mamy, jej ciotki, a teraz miał się stać jej domem. Poczowała się tak, jakby właśnie cofnęła się w czasie o stulecia. Bała się, że po przekroczeniu progu ciotka wskoczy w strój ludowy i zacznie miotłą zamiatać werandę. Tak, tak, dom miał werandę. Nawet ławkę zawieszoną na linach przymocowanych do sufitu, z którego zwisały też – to nie żart! – jakieś zasuszone wiechcie. Na parapetach suszyły się z kolei jakieś liście. Alicja nie zdziwiłaby się, gdyby obok wietrzyła się przypadkiem kocia skórka. Albo wisiały wypatroszone króliki. Brrr... Dom miał też drewniany płot i źle przystrzyżony trawnik. I zdaje się, że ogródek położony tuż za nim, o czym świadczyła furtka, zza której wystawało jakieś zielsko wysokie na co najmniej metr. Na szczęście pod oknami nie rosły malwy, bo to byłoby dla Alicji gwoździem do trumny. Położony na obrzeżach miasteczka dom różnił się od tych, które widziała w centrum miasteczka. Centrum miasteczka? Czy to w ogóle można tak nazwać? Przynajmniej nie wyglądał jak chatka z piernika, ale jak dom, w którym kiedyś straszyciło. W ramach ocieplania wizerunku ktoś pomalował go na łapu-capu na przyjazne kolory i postawił skrzynkę na listy, żeby wyglądało na to, że i tu dotarła cywilizacja.

– I jak? – mruknęła Tatiana przez zęby, w których trzymała klucze. – Jak się napatrzysz, to czekam na ciebie w kuchni.

W kuchni? Alicja widziała już oczami wyobraźni te wszystkie kamionkowe naczynia ze zsiadłym mlekiem i kiszonymi ogórkami, wieńce czosnku nad kuchnią, któ-

ra oczywiście nie jest ani elektryczna, ani gazowa, ale na drewno, lniane serwety, drewniane sztuce i wiadro z wodą nabraną ze studni. Dziewczyna ostrożnie wspięła się po drewnianych schodach na ganek, zastanawiając się, czy ten dom jest w ogóle ubezpieczony. Pewnie nie, skoro sam się prosi o jakiś nieszczęśliwy wypadek. Na szczęście ciotka jej nie zawiodła i kuchnia wyglądała, jak należy. Żadnych glinianych garnków czy cynowych miednic. Uff, jest mikrofalówka. I ekspres do kawy. Blender. Zwykle talerze i kubki z Ikei. Kuchnia wyglądała całkiem normalnie. Zwłaszcza sterta niepozmywanych naczyń w zlewie. I stos ulotek na podłodze obok kosza na śmieci. Alicja położyła zakupy na stole i podeszła do blatu.

– Po co ci tyle przypraw? – Alicja wzięła do ręki jeden z co najmniej dwudziestu pojemników. – Werbena? – Zerknęła na nalepkę. – Co to, u diabła? Chyba nie dodajesz tego do ciasta?

– Do ciasta nie, ale wrzucam zamiast soli do kąpielii – mruknęła Tatiana, upychając stertę pudełek do zamrażarki.

Alicja skrzywiła się i odłożyła pojemnik. No dobra. Mogło być gorzej. To przynajmniej nieszkodliwe dziwactwo.

– To co? – Tatiana wstała z kucek. – Pokażę ci twój pokój.

Byle nie był różowy. Byle nie był różowy. Byle nie był...

Nie był różowy. Był biały. Alicja nie przepadała za tym kolorem, ale przynajmniej miała gwarancję, że doprowadzi ją do szału znacznie później niż każdy inny.

– Nie mam pojęcia, co tam wieszacie na ścianach, więc na wszelki wypadek nie powiesiłam nic. I? – Tatiana zajrzała przez ramię stojącej wciąż w drzwiach pokoju siostrzenicy.

– Jest OK – powiedziała szybko Alicja. Zanim ciotka uzna, że trzeba coś zawiesić na ścianie i musi być to koniecznie poroże jelenia, przekazywana z pokolenia na pokolenie pamiątka rodzinna.

– Co to jest? – Alicja podeszła do łóżka i sięgnęła po jakiś zasuszony wiecheć wiszący na ścianie. Idealnie nad jej poduszką. To znaczy jej przyszłą poduszką.

– Aaaa... To? Werbena. I biała szalwia. Chroni przed komarami – rzuciła od niechcienia ciotka, wyrównując nieistniejące zagniecenia na kapie, która przykrywała łóżko.

– Jakimi komarami? Jest październik. Poza tym nie zamierzam spać przy otwartym oknie – zdziwiła się Alicja.

– Nie masz pojęcia, z jakimi komarami musimy się tu użerać – mruknęła Tatiana. – No dobra! – Skończyła poprawianie narzuty, która w ogóle nie wymagała poprawienia. – Rozgość się. Kolacja za dwadzieścia minut!

Alicja wtaszczyła walizkę na łóżko, po czym usiadła obok i rozejrzała się po pokoju. Był duży. Większy niż wszystkie, jakie kiedykolwiek miała. I jasny. To pewnie przez ten sterylny biały kolor. I wciąż pachniał farbą. Ciotka musiała go malować pospiesznie dosłownie kilka dni temu. Nie dało się ukryć, że za wszelką cenę starała się go unowocześnić: regał i stół były na bank z Ikei, tak samo jak lampka nocna. I granatowa pościel w a niech to! – ciasteczka! Alicja uśmiechnęła się mimo woli. Jedyne, co z pewnością po-

zostało nieruszone, to wielka okuta szafa, teraz otwarta na oścież, do której ciotka włożyła chyba milion plastikowych wieszaków, i kufer pod oknem. Najwyraźniej były zbyt ciężkie, żeby je ruszać. Alicja z ciekawości zajrzała do kufra. Pusty. Czego się spodziewała? Czyjejś głowy? Roześmiała się, ale ten śmiech nawet jej samej wydał się mało wiarygodny. Sięgnęła po plecak i wyjęła z niego laptopa, smartfona i książkę Stephena Kinga, która tak rozeźliła panią Lucynę. To znaczy Roxanę... Ciekawe, jak się ma jej T-shirt? Alicja uśmiechnęła się na myśl o tym, co zdarzyło się w pociągu. Dziwne...

Otworzyła walizkę i wyjęła rzeczy. Nie było tego dużo. Nie licząc książek, rzecz jasna. Stos koszulek, kilka bluz z kapturem, buty na zmianę. Zerknęła w stronę otwartej szafy i niezliczonej liczby wieszaków. Ciotka chyba spodziewała się blogerki modowej. Chyba nigdy nie miała wielu rzeczy. Zbyt często się przeprowadzali, żeby mogła gdzieś coś zachomikować. Za to nabyła wyjątkowej wprawy w szybkim i sprawnym pakowaniu. Zupełnie jej to nie przeszkadzało. Zresztą, nie przywiązywała się za bardzo do przedmiotów. Ani do ludzi. W końcu wszystkich i tak trzeba będzie pożegnać. Wcześniej czy później. Spojrzała na rozbebeszoną walizkę. Teraz może śmiało powiedzieć, że jej całe życie zmieściło się w jednej torbie. Oczywiście, masa rzeczy została u ciotki Meli, ale Alicja nie zamierzała się tym przejmować. Nie były jej potrzebne. Poza tym ciotka chyba się ucieszyła, że coś zostało. Jakby miała nadzieję, że Alicja wróci...

Dziewczyna otrząsnęła się z odrętwienia. Właśnie przypomniało jej się, że nie siusiała od... O Boże! Od Warszawy! Wstała i intuicyjnie zaczęła szukać łazienki. Po drodze minęła pokój, który musiał być pokojem ciotki. Nawet jeśli poznały się godzinę temu, Alicja mogłaby dać sobie rękę, a może nawet i nogę uciąć, że ten bajzel musi należeć do Tatiany. Wyglądał zupełnie jak pokój nastolatki, czyli tak, jak pokój Alicji nigdy nie wyglądał. Zawalony był ciuchami, kosmetykami i kolorowymi czasopismami. Na ścianie wisiało kilka korkowych tablic z różnymi wycinkami. A nad łóżkiem wielki poster Marilyn Monroe w antyramie. Alicja westchnęła i uśmiechnęła się pobłaźliwie. A to co? Uchyliła drzwi i zobaczyła coś, co wprawilo ją w osłupienie.

– Nie słyszałaś o e-bookach? – przedrzeźniła ciotkę.

To musiała być biblioteka. Ale jaka! Od podłogi po sufit – wszędzie książki. Alicja pociągnęła nosem. Stare, zakurzone i zdaje się, oprawione w skórę albo w coś równie drażniącego nozdrza. No no... Chyba będę tu często zaglądać, pomyślała. Oparła się jednak pokusie wejścia do środka i zobaczenia, co tam ciotka czytuje w długie zimowe wieczory. Była na to zbyt zmęczona. Poza tym ciotka na pewno nie da jej żyć, jeśli nie zje kolacji. Oby tylko nie była to jakaś regionalna potrawa z kozy.

– Długo jeszcze? – usłyszała z dołu. – Pospiesz się, bo wystygnie!

Zaczyna się... W łazience Alicja przeżyła kolejny szok. Kosmetyki ciotki zajmowały każdy kawałek wolnej przestrzeni. Zupełnie jakby się rozmnażały na bieżąco... Alicja spojrzała w lustro. O Boże... Wyglądam, jakbym jechała nie

w pociągu, ale pod pociągiem. Dlaczego miała jakieś niejasne przeczucie, że ten dzień nie skończy się tak szybko?

– Idziesz czy nie?!

Chryste...

– Mam nadzieję, że się upiekła w środku. Bo jak nie, to będziemy musiały ubić kota sąsiadów – mruknęła Tatiana, wyjmując coś z piekarnika. Coś, co według Alicji mogło być zapiekanką, ale równie dobrze podgrzany kawałkiem perskiego dywanu.

– Żartowałam z tym kotem. – Tatiana mrugnęła do Alicji i wyłożyła po parującym kawałku na szare talerze z Ikei.

– No coś ty... – mruknęła Alicja, rozgrzebując swoją porcję widelcem. – Co to jest?

– Pasterska zapiekanka z kozim serem.

Aha...

Alicja wzięła do ust pierwszy kęs. O rany... Stawiałaby jednak na perski dywan...

Zerknęła na ciotkę, która właśnie przeżuwała pierwszy kawałek. Przelknęła.

Odważna, pomyślała Alicja. No cóż... Gospodyni chyba nie wypada wypluwać własnych potraw, prawda?

– Zbieraj się, zjemy na mieście – powiedziała Tatiana, ściągając jednym ruchem kurtkę z oparcia krzesła.

Na mieście? Na jakim mieście? Cokolwiek to znaczyło, Alicja z ulgą zostawiła nietkniętą pasterską zapiekankę z perskiego dywanu zamiast koziego sera i sięgnęła po swoją kurtkę.



– Chyba żartujesz... – mruknęła Alicja, kiedy wysiadły przed czymś, co wyglądało jak zajazd staropolski, z którego w każdej chwili mógł wypaść Kmicic z kolegami. „U Nikołaja” – głosił lekko wytarty napis na drewnianej belce.

– Bardzo oryginalnie. Bardzo. – Alicja wzniosła oczy ku niebu i westchnęła.

– Nie oceniaj książki po okładce – odcięła się Tatiana, zatraskując drzwi samochodu. – Wszyscy tu jedzą. To znaczy wszyscy ci, którzy nie gotują. Albo nie umieją gotować – dodała z niewyraźną miną.

Wnętrze wyglądało tak, jakby Magda Gessler zrobiła tu kuchenną rewolucję, ale właściciel się rozmyślił i za jej plecami postanowił wrócić do poprzedniego stanu. W rezultacie całkiem nowoczesny bar kontrastował z rustykalnymi drewnianymi ławami i stołami, które na sto procent nie były żadną stylizacją. No i te skóry na ścianach... W knajpie siedziało sporo osób. O dziwo, klientelę stanowiły głównie rozchichotane nastolatki, robiące sobie zdjęcia komórkami. Przy barze tkwiło za to sporo facetów, którzy obejmując z czułością butelkę piwa, gapili się w zawieszony nad barem mały telewizor. Tatiana stuknęła siostrzenicę w łokieć i pokazała wolny stół tuż przy wielkim słupie, który, zdaje się, podtrzymywał strop, bo chyba raczej nie służył do ozdoby.

– To na co mogę tutaj liczyć? Na niedźwiedzią łapę? Golonkę z włosami? A może po prostu od razu poproszę o ćwierć prosiaka? – Alicja przetarła stół rękawem i odsunęła stos brudnych naczyń.

– Żebyś się nie zdziwiła, młoda damo – usłyszała gdzieś



nad sobą huczący bas z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Nikolaj – rozpromieniła się Tatiana i puściła oko do faceta o niedźwiedziej posturze, z lekko skośnymi oczami i ciemnymi kręconymi włosami. Bez dwóch zdań był to Nikolaj we własnej osobie. Wytarł wielkie łapy w fartuch i wyciągnął jedną z nich do Alicji.

– Nikolaj.

– Alicja. – Uściśnęła niepewnie dłoń wielkości bochna chleba.

– Wiem. Twoja ciotka mówiła o tobie cały czas. – Pokiwał głową.

– Ciekawe... – Alicja odwróciła się w stronę ciotki. – Zwłaszcza że dopiero się poznałyśmy.

– Dobra, dość tych powitań. Możemy dostać menu? – Tatiana udała, że nie widzi wyczekującego (i kpiącego) wzroku siostrzenicy.

– Tak, oczywiście. – Nikolaj nie wyglądał na zmieszanego rodzinną wymianą zdań. Sięgnął po leżące na sąsiednim stoliku menu i położył przed nimi. – To... miłego pobytu – rzucił w stronę Alicji.

Tatiana westchnęła.

– Bycie miłym jeszcze nikogo nie zabiło. – Popatrzyła z lekko uniesioną brwią na Alicję.

– Przekonamy się? – mruknęła Alicja, wsadzając głowę w kartę. Po chwili ją odłożyła.

– Słuchaj, skąd on właściwie jest?

– Kto? – Tatiana zmarszczyła brwi.

– No ten cały Nikolaj...

– A skąd ma być? Stąd.

– Ale jego akcent...

– Moja droga, tu każdy jest skądś, co nie znaczy, że nie jest stąd. – Ciotka oparła łokcie na stole i splotła dłonie. – Nikolaj jest z Gruzji. Grzegorz albo, jak wolisz, Grisza... – pokazała ruchem głowy na chudego blondyna sączącego piwo – ...ma ojca Rosjanina. Nina... – rzuciła szybkie spojrzenie czarnowłosej kelnerce, która dwa stoliki dalej przecierała stół – ...jest z Krymu. Artiom... – odwróciła się w prawo i uśmiechnęła do chłopaka w jasnych włosach luźno związanych na plecach – przyjechał z Ukrainy. A tamten... – Zmarszczyła brwi na widok zwalistego faceta ze strzechą czarnych włosów. – A nie, tamtego nie znam.

Alicja uniosła brew.

– Żartowałam. To Kola. – Tatiana wybuchnęła śmiechem na widok miny siostrzenicy. – Najprawdziwszy Kozak.

– Naprawdę znasz tu każdego? – Alicja spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Tak.

– To...

– Chore?

– Dziwne... – Dziewczyna skrzywiła się lekko.

– Tak to wygląda. Tu wszyscy wszystkich znają. I wszyscy wszystko wiedzą. Kto ukradł kurę, a kto całował się za chałupą. Dlatego radzę ci, uważaj! – Pogroziła jej palcem Tatiana. – Dowiem się o wszystkich twoich chłopakach wcześniej, niż myślisz.

– Jasne – mruknęła Alicja. – Na pewno są tu całe hordy interesujących chłopaków. – Nie przeraża cię to? – spytała po chwili.

– Co?

– No wiesz... że wszyscy się znają i... w ogóle.

– Nie. Dopóki żyjesz z nimi w zgodzie, nic ci nie grozi.

– A jeśli nie...

– Wywożą cię na taczkach z gnojem. – Wzruszyła ramionami ciotka. – O, a ta dziewczyna za tobą, z fryzurą na Tymoszenko, to Marika.

– A ci? – Alicja zmrużyła oczy i pokazała ruchem głowy na siedzącą w boksie przy ścianie parę. Nie dało się ich nie zauważyć. Oboje mieli jasne, prawie białe włosy i równie jasną karnację. Zupełnie jakby ktoś ich poprawił w Photoshopie i wstawił do plakatu promocyjnego *Wikingów*. – Gapią się tutaj, od kiedy weszliśmy.

Tatiana przeciągnęła się, dyskretnie odwróciła głowę do tyłu i... pomachała bladej parze. Ci uśmiechnęli się lekko i podnieśli rękę w geście powitania.

– Znasz ich? – Alicja znowu zmarszczyła brwi.

– Oczywiście, że znam. Zamawiaj! – pogoniła siostrzenicę, stukając palcem w menu.

– Kto to jest?

– Kto? – Ciotka podniosła wzrok znad karty.

– Jak to kto? Te blondasy.

– Aaaa... Olga i Borys. Bliźniaki. Jak już pewnie zauważyłaś. Są chyba w twoim wieku. A on jest... – przechyliła się przez stół w stronę Alicji – ...całkiem niezły.

– Jeśli jest w moim wieku, to chyba nie powinnaś się z nim umawiać, bo możesz mieć prokuratora na karku.

Tatiana prychnęła.

– Wyglądają na cholernych wikingów – mruknęła Alicja znad karty.

– To pewnie przez te włosy. Podręcznikowy przykład rasy kaukaskiej. – Tatiana parsknęła śmiechem. – Tym bardziej że ich przodkowie, zdaje się, faktycznie pochodzą z Kaukazu.

– Zdecydowałyście się na coś? – Nikolaj wyrósł jak spod ziemi.

– Taaaa... – Tatiana przebiegła wzrokiem po menu. – Może po prostu to co zawsze?

– Jak zwykle – roześmiał się Nikolaj. – A ty, młoda damo?

– Ja... – Alicja skrzywiła się lekko. – Macie tu jakieś hamburgery?

– Mamy, mamy. Pewnie, że mamy. Dzieciaki w kółko jedzą to świństwo... – Nikolaj zebrał karty i mrużąc pod nosem, poszedł do kuchni.

– Z sosem czosnkowym! – krzyknęła za nim Tatiana.

– Nie lubię czosnku. – Alicja spojrzała na nią spode łba. Czyżby ciotka Tatiana zamieniała się właśnie w ciotkę Melę? Niedobrze. Bardzo niedobrze...

– Cześć.

Alicja podniosła wzrok. To „cześć” z całą pewnością nie było skierowane do niej. Wysoki, a nawet bardzo wysoki facet o jasnych włosach, z opadającą na oczy grzywką, którą

odrzucał co chwilę na bok, ubrany w jeansy i bardzo grzeczną (a może właśnie grzeszną...) granatową koszulkę polo, raczej nie należał do jej znajomych. W każdym razie nie przypominała sobie, żeby znała jakiegoś przystojnego faceta przed trzydziestką. Ale ciotka musiała go chyba znać. I to, zdaje się, bardzo dobrze... Alicja z rozbawieniem patrzyła, jak Tatiana żywo, ale przede wszystkim dość nagle zainteresowała się origami, bo zaczęła szybko składać i rozkładać papierową serwetkę.

– Cześć – mruknęła ciotka, nawet na niego nie patrząc. Noooo... To chyba oznacza, że nie tylko się znają, ale że bardzo dobrze się znają, pomyślała Alicja i uśmiechnęła się do siebie, co przystojniak najwyraźniej odczytał jako zachęcające powitanie.

– Ty musisz być Alicja. Jestem Wiktor. – Wyciągnął do niej rękę.

– Miło mi, Wiktorze. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej dziewczyna, używając wołacza, którego szczerze nienawidziła, więc zachowywała go na specjalne okazje. – Tatiana nic mi o tobie nie wspominała. – Posłała ciotce wymowne spojrzenie.

– Bo nie było o czym wspominać – mruknęła Tatiana, nadal składając i rozkładając serwetkę, która nie nadawała się już do żadnego składania. Ani tym bardziej rozkładania.

Wiktor pokiwał głową. Najwyraźniej starał się ukryć rozbawienie.

– OK, w takim razie nie przeszkadzam. Smacznego. – Odrzucił na bok grzywkę. – Miło było cię poznać. – Ukłonił

się lekko Alicji, po czym zerknął na Tatianę. – To do zobaczenia.

– Taaa... – wymamrotała Tatiana, walcząc z serwetką tak zawzięcie, jakby chciała ją reanimować.

– Co to miało być? – Alicja przechyliła się przez stół.

– Nic. – Ciotka odłożyła w końcu serwetkę i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Ładne mi nic – zauważyła Alicja i osunęła się lekko na krzesło, też krzyżując ramiona. – Nomen omen...

– Nie ma o czym mówić. Dzięki, Nikolaju. – Tatiana uśmiechnęła się do Nikolaja, który postawił przed nią wielki talerz baraniny z pieczonymi ziemniakami i surówką. Drugi talerz wylądował przed Alicją, która z uznaniem popatrzyła na hamburgera wielkości koła młyńskiego z kopą frytek i trzema sosami. Oczywiście, jeden z nich był czosnkowy.

– Dzięki – rzuciła, czekając, aż Nikolaj się oddali, a ona będzie mogła wrócić do niewygodnego – dla ciotki, rzecz jasna – tematu. Ta chyba wyczuła, że coś się święci, bo wepchnęła sobie od razu do ust wielkiego pieczonego ziemniaka.

– Czy to twój były chłopak? – nie dawała za wygraną Alicja. – Czy może były chłopak, który wciąż ci się podoba?

Ciotka się skrzywiła. Nie wiadomo, czy z powodu Wiktora, czy gorącego ziemniaka.

– O rany! – Alicja aż otworzyła usta. – Rozumiem, że to drugie. No no... Możesz mi powiedzieć, jak to się stało, że taki facet jak Wiktor stał się twoim byłym facetem? – spytała, wkładając sobie do ust kilka frytek naraz.

– Jedz sos czosnkowy. – Tatiana w końcu przełknęła ziemniaka i od razu przestawiła się na ciotczyzny ton.

– Ani myślę!

– Bo?

– Bo go nie cierpię.

– Musisz jeść czosnek. Przynajmniej dopóki tu jesteś.

– Co?? – Alicja bawiła się coraz lepiej. To pewnie przez to niespodziewane pojawienie się Wiktora ciotka zaczyna gadać od rzeczy. – A to dlaczego?

– Bo... czosnek jest... zdrowy. Poza tym wszystko tutaj podaje się z czosnkiem. Jesteśmy na wsi, na miłość boską! – zachnęła się Tatiana i zaczęła rozgrzebywać widelcem mięso.

– Proszę, proszę... Dwie panny Korsakow za jednym zamachem. Tyle szczęścia naraz!

Tym razem i Alicja, i Tatiana równocześnie odwróciły głowy. Ciotka zeszytniała, co nie umknęło uwagi Alicji. Czyżby kolejny ekschłopak? Cholera, jakim cudem w tej dziurze jest tylu przystojnych facetów? – pomyślała Alicja, przyglądając się bezczelnie nieznanemu, który, co prawda, stanowił zupełne przeciwieństwo Wiktora, ale razem z nim mógłby spokojnie reklamować męską bieliznę. Albo cokolwiek innego. Byłe w bieliźnie. W odróżnieniu od Wiktora ten przystojniak miał smoliste włosy, tak samo opadające z czoła, czarne jak węgiel oczy w ciemnej oprawie i nie mniej ciemny zarost. Alicja nie znała się za bardzo na genetyce, ale coś jej mówiło, że mamusia tego Bohuna musiała się zapatrzeć na jakiegoś Kozaka. Albo Tatara.

– Czego chcesz? – syknęła Tatiana.

Do licha, lepszego imienia nie mógłby sobie sam wymyślić...

– Chciałem się przedstawić, bo chyba jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać... – Ukłonił się lekko Alicji. – Ty musisz być Alicja.

Dziewczyna przyrzekła sobie, że jeśli jeszcze raz usłyszy zdanie „Ty musisz być Alicja”, własnoręcznie pozbawi życia wypowiadającego te słowa, ale tym razem chyba sobie odpuści.

– Eeee... – zaczęła mało inteligentnie, z czego natychmiast zdała sobie sprawę i momentalnie zamknęła usta.

Dymitri wyciągnął rękę na powitanie. Tatiana drgnęła i obróciła się tak niezręcznie, że przewróciła solniczkę, a potem tak niefortunnie przesunęła łokciem po stole, że rozprowadziła sól grubą warstwą w poprzek blatu tuż przed osłupiałą Alicją. Dymitri cofnął rękę, mimo że Alicja już wyciągała swoją, i roześmiał się głośno, ukazując zdumionemu światu porażającą biel zębów.

– Gratuluję zręczności – mruknął rozbawiony na widok rozsypanej soli. – Naprawdę imponujące. – Pochylił się nad Tatianą.

– Uważaj, Dymitri – powiedziała ciotka, cedząc każde słowo. – Trzymajmy się zasad. Ja ci nie wchodzę w drogę, ty – mnie. Zapamiętanie tego chyba nie przekracza twoich możliwości intelektualnych, prawda? – Uśmiechnęła się z nieklamaną złośliwością.

– Do czasu... – szepnął tuż przy jej uchu, mrużąc lekko oczy. – Do czasu...



Wyprostował się nagle i wyszczerzył się do Alicji.

– Do zobaczenia. Bo to, że się jeszcze zobaczymy, jest więcej niż pewne.

Alicja patrzyła, jak odchodzi, totalnie oniemiała. Ciotka siedziała sztywno, zaciskając palce na blacie stołu.

– Wszystko w porządku? – usłyszały znajomy wschodni akcent.

– Tak. – Tatiana ocknęła się z odrętwienia. – Tak, Nikołaju. Wiesz przecież, jaki on jest. – Wzruszyła ramionami.

– Wiem, wiem – westchnął głośno Nikołaj, patrząc na rozsypaną sól.

– Co to było?! – spytała Alicja, kiedy ochłonęła. – Kolejny były chłopak? Bo jeśli tak, to tego zdecydowanie nie lubisz.

Ciotka zacisnęła zęby i znów zaczęła grzebać w baraninie.

– Nie masz mi nic do powiedzenia? – Alicja przechyliła się nad swoim talerzem. – Cholera! – syknęła i wyjęła łokieć z rozsypanej soli. – Powiedz coś!

– Dobra, powiem ci coś. – Tatiana odłożyła sztućce i odetchnęła głęboko. – Trzymaj się od niego z daleka.

– Co?

– To, co słyszałaś!

– Dlaczego?

– Bo ja tak mówię! I masz mnie słuchać!

– Nie jesteś moją matką! – wrzasnęła Alicja. Kilka osób siedzących przy sąsiednich stolikach odwróciło się w ich stronę.

– Dobra, w porządku. Nie jestem twoją matką. – Tatiana potarła dłonią skroń. – Po prostu... Trzymaj się od niego z daleka. I tyle.

– Bo?

– Bo cię o to proszę, OK? – powiedziała ciotka już spokojniejszym tonem.

Alicja dała za wygraną.

– OK – rzuciła w końcu cicho i sięgnęła po frytkę. Była już zimna.

Tatiana spuściła głowę i pogrzebała w ziemniakach.

– Pójdę po sól. – Zerwała się nagle.

Alicja długo przyglądała się sosom. Wreszcie sięgnęła po kolejną frytkę i zanurzyła ją w ketchupie. Kiedy podniosła głowę, natknęła się na spojrzenia blond pary spod ściany. Poczula niczym nieuzasadniony niepokój. I chłód. No chyba że to wina zimnych frytek... Popatrzyła na rozsypaną na stole sól. Wzięła frytkę, zanurzyła ją w słonej ścieżce i włożyła do ust. Na oczach wciąż obserwujących ją blondynów.



– Mogę? – Ciotka Tatiana zapukała w półotwarte drzwi do pokoju Alicji. W rękę trzymała... O Boże, czy to jest mleko???

– Jasne – mruknęła Alicja. Siedziała po turecku na łóżku i czytała książkę. Miała na sobie swoją ulubioną piżamę w szkocką kratę. To znaczy dół od piżamy. Góra gdzieś się zawieruszyła, więc dziewczyna musiała ją zastąpić koszulką na ramiączkach. Była to jedna z nielicznych rzeczy w jej

walizce, które się nie zmieniały wraz z kolejnymi przeprowadzkami. Tatiana usiadła obok niej na łóżku i podała jej szklankę.

– Mleko? Daj spokój... – Alicja wzniosła oczy ku niebu. – Naoglądałaś się amerykańskich filmów czy co?

– To ty daj spokój. Lepiej ci się będzie spało.

– Z tym chyba nie będzie problemu. Jak się domyślasz, nie pierwszy raz śpię w nowym miejscu.

– Dobra, dobra... Pozwól mi pociotkować ci trochę – roześmiała się Tatiana.

Alicja wzięła szklankę i pociągnęła spory łyk. Mleko smakowało miodem, cynamonem i czymś, czego nie rozpoznawała. Miała tylko nadzieję, że nie jest to zakamuflowany czosnek.

– Dzień był do bani – stwierdziła, oblizując wąsy z mleka.

– Jutro będzie lepiej – powiedziała z przekonaniem ciotka.

– Żartujesz? – obruszyła się Alicja. – Jutro zacznie się prawdziwe piekło.

– Czemu?

– Szkoła.

– No i?

– Jezu, chodziłaś kiedyś do szkoły, prawda? Czy za twoich czasów nie było żadnej? – skrzywiła się Alicja.

Milczały przez chwilę obie.

– Słuchaj... – zaczęła w końcu Tatiana. – Gdybyś chciała pogadać... Wiesz, o rodzicach... Albo w ogóle.

– Nie chcę.

– OK, rozumiem. Ale gdybyś chciała... Kiedyś. To wiesz...

– Tak, wiem. – Alicja odstawiła szklanekę, nie patrząc na ciotkę.

– No dobra. – Tatiana podniosła się z wyraźną ulgą, jakby udało jej się rozwiązać jakieś wyjątkowo złośliwe zadanie z matematyki. Chyba bała się tej rozmowy. Której właściwie nie było. – Jutro wstajesz punkt siódma, OK? Podrzucę cię. Ale nie przyzwyczajaj się, dobra? To tylko dlatego, że w poniedziałki nie pracuję. Dobranoc.

– Jasne. Dobranoc – mruknęła Alicja i zgasiła światło.

Leżała z otwartymi oczami, patrząc w sufit.

Skłamała. Mimo że co najmniej milion razy spała już w nowym miejscu, jeszcze w żadnym nie czuła się tak nieswojo jak tu. I po raz pierwszy nie wiedziała dlaczego.



Tatiana nie spała. Pozamykała porządnie wszystkie okna. Pogasiła światła. Zamknęła dokładnie drzwi wejściowe. Przekręciła klucz dwukrotnie. A zaraz potem usypała równą ścieżkę z soli wzdłuż progu. Na palcach weszła po schodach i stanęła przed drzwiami pokoju Alicji. Przez moment słuchała, jak Alicja równo oddycha przez sen, a potem rozsypała sól wzdłuż progu jej drzwi. Równie cicho zeszła na dół. W przedpokoju zdjęła z wieszaka kurtkę Alicji. Odpruła kawałek podszewki i wsunęła tam maleńką foliową saszetkę z solą. Potem weszła do kuchni. Usiadła przy stole i sięgnęła po telefon. Przez chwilę wpatrywała się w wyświetlacz. Wreszcie wybrała numer.

– To ja. Przyjechała. Wicie, co macie robić, prawda?

## Rozdział drugi

– Co, do licha? – Alicja podniosła bosą stopę i obejrzała ją dokładnie. Co to jest? Ciotka rozsypała przed drzwiami trutkę na szczury? Chryste, czy to znaczy, że tutaj są szczury???

– Wstałaś już? – dobiegło z dołu. – Masz piętnaście minut!

Świetnie. Alicja jeszcze raz popatrzyła na proszek, w który weszła zaraz po wyjściu z pokoju. Czuła, że wdepnęła w coś znacznie gorszego niż białe świństwo na progu. Przeciągnęła się i ziewnęła szeroko. Wolą, żeby ten dzień się już skończył, a była przecież dopiero siódma rano.

– Dzień dobry – rzuciła ciotka, nawet nie odwracając się w stronę Alicji. Klęczała nad koszem i upychała kolanem to, co nie chciało się zmieścić w worku na śmieci. – Kawa w ekspresie, lodówka – tam, gdzie zawsze.

Alicja pokiwała głową z uznaniem. Serio? Kawa w ekspresie? Żadnych kazań na temat tego, że śniadanie to najważniejszy posiłek dnia i musi się składać z tylu dań, ile mieści się w menu kolacji po ogłoszeniu Nagrody Nobla? Jestem w niebie... – pomyślała, nalewając kawy do kubka.

– W tym idziesz? – Tatiana zerknęła na nią znad kosza na śmieci.

Alicja popatrzyła w dół. Jeansy, T-shirt, zielona wojskowa kurtka. Coś nie tak?

– Ale że co? – mruknęła. – Granatową plisowaną spódniczkę i podkolanówki oddałam do pralni, więc może pożyczę coś od ciebie? – Uśmiechnęła się złośliwie do ciotki w jeansach i flanelowej koszuli. Odstawiła kubek i sięgnęła po banana.

– Słuchaj... – zaczęła Alicja, przyglądając się uważnie bananowi. – Czy ty w ogóle gdzieś pracujesz?

– Co? – Tatiana skrzywiła się, zawiązując worek ze śmieciami.

Alicja nie wiedziała, czy to z powodu śmieci, czy jej pytania. Czyżby coś było na rzeczy?

– No czy gdzieś pracujesz?

– No... jestem tak jakby farmaceutką.

– Tak jakby?

– No robię leki na zamówienie. Maści, syropy, takie tam.

– I... to wszystko?

– No jeszcze jestem tak jakby masażystką.

– Aha...

– Przy okazji nastawiam ludziom to i owo. Takie tam, nic ciekawego. A co? Zastanawiasz się, czy starczy ci na kieszonkowe?

– Jesteś znachorką?

– Boże, skąd znasz takie słowo? – Tatiana przestała interesować się śmieciami, za to przyjrzała się z dużym zainteresowaniem siostrzenicy. – Robię to samo, co twoi rodzice, tylko nie mam na to papierów.

– Jasne. Każesz ludziom pić własne siki, upuszczasz krew i przystawiasz pijawki? A może masz ręce, które leczą... – Alicja zniżyła głos, akcentując ostatnie słowo.

– Tak. I docieram do chorych na latającym dywanie. – Tatiana wzniosła oczy ku niebu. – Zbieraj się już, dobra?

Alicja parsknęła śmiechem, sięgnęła po plecak i pokręciła głową z pobłażliwym uśmiechem. Nie wierzyła w nic, czego nie mogły wyjaśnić matematyka, fizyka i biologia. Dlatego tak lubiła Stephena Kinga. Bo potrafiła każdą niewytłumaczalną racjonalnie historię z jego książki wyjaśnić sobie za pomocą praw fizyki czy fizjologii. Dlatego miała nadzieję, że nawet jeżeli ciotka upuszcza komuś krew albo wmawia, że przytulenie się do omszałego drzewa leczy nerki, to nikogo nie ma na sumieniu i nie ma zasądzonego kuratora. Z drugiej strony jeśli z tego żyje, to jakim cudem tak długo udaje jej się nabijać ludzi w butelkę?

– Idziesz czy nie?

– Idę, idę... – mruknęła Alicja. Uśmiechnij się, pomyślała. Najgorsze jeszcze przed tobą.



– Co to ma być? – Alicja wytrzeszczyła oczy, kiedy ciotka zatrzymała się przed szkołą. Albo przed czymś, co nazywało się szkołą. – Hogwart?

– Tak jakby. Tylko nie licz na spotkanie Harry’ego Pottera – mruknęła Tatiana, grzebiąc w torbie tak wielkiej, że przy odrobinie wysiłku pomieściłaby też zwłoki, gdyby ktoś chciał je szybko ukryć.

Alicja słyszała o niemieckiej praktyce przerabiania kościołów na dyskoteki, ale to chyba niemożliwe, żeby ta moda zapanowała już w Polsce. Zwłaszcza na takim zadupiu. Jeśli to ma być szkoła... Budynek wyglądał jak podrasowa-

ny zamek Draculi, nawet jeśli obok znajdowało się całkiem nowoczesne boisko. Pewnie taki mały podarunek od Unii Europejskiej.

– To ma być szkoła? – Spojrzała z wyrzutem na ciotkę.

– Co ci się znowu nie podoba? – Tatiana westchnęła ciężko i przerwała grzebanie w torbie.

– Wygląda jak dom rodziny Adamsów. Ktoś tu wcześniej mieszkał? Na przykład jakiś rumuński hrabia z kłami?

– Bardzo śmieszne. Kiedyś był to dworek bardzo dzianej rodziny. Stary Dobrygin zapisał go miastu, bo miał gest, ale są tacy, którzy mówią, że nie chciał, żeby wpadł w łapy jego syna. No i zrobili w nim szkołę. Przynajmniej tyle dobrego. A jego durne latorośle nie dość, że wcale przez to nie zbiedniały, to teraz jeszcze puszą się jak pawie, że miasto zawdzięcza im szkołę. Banda kretyków...

Alicja patrzyła, jak ciotka wyrzuca z siebie długi monolog, nie przestając nerwowo grzebać w torbie. Chyba naprawdę nie lubi tej całej bandy kretyków, kimkolwiek ona jest...

– Dobra, mogę już iść? Chyba mi już wystarczająco nasświetliłaś całą sprawę... – pospieszyła ciotkę.

– Idź, tylko pamiętaj: nie zagryź nikogo pierwszego dnia.

– Ha, ha, ha. Ha. Bardzo śmieszne – mruknęła Alicja i otworzyła drzwi samochodu.

– Jak wszystkie z naszej rodziny masz niewyparzoną gębę i prędzej czy później wylądujesz na dyrektorskim dywaniku.

– Mama też tam była? – spytała zaczepnie Alicja.



– Oczywiście, że tak. I ty też będziesz. Oby jak najpóźniej. Dyrektorka to prawdziwa zołza, więc nie każ mi jej za często oglądać.

Alicja machnęła ręką i odwróciła się.

– Hej! – Tatiana przechyliła się przez fotel pasażera. – Zapomniałaś o kanapkach!

Alicja zacisnęła zęby.

– Chyba żartujesz...

– Chyba żartujesz, że puściłabym cię bez śniadania. – Ciotka uśmiechnęła się złośliwie, podając jej dużą papierową torbę. – Sama robiłam. Miłego dnia!

Alicja posłała jej nieszczerzy uśmiech i odebrała od ciotki torbę, która ważyła, o Boże!, co najmniej pięć kilo. Miała tylko nadzieję, że nie znajdzie tam pudełka z Hello Kitty, a w nim kanapki z odkrojonymi skórkami i obranych mandarynek, bo wtedy z pewnością wszyscy uznają ją za niepełnosprawną.

– Miłego dnia! – usłyszała za sobą.

O tak. Zabawa będzie przednia. Tego mogła być pewna.



Witajcie w piekle, pomyślała Alicja, kiedy przekroczyła próg szkoły. Każda szkoła – bez względu na to, jak wyglądała od środka – dla niej zawsze była taka sama, bo pełna takich samych dzieciaków. I nawet jeśli ta przypominała odmalowany zamek transylwańskiego hrabiego, do którego doprowadzono elektryczność i bieżącą wodę, już od wejścia natknęła się na te same nastolatki, co w każdej innej szkole. Bo nawet jeśli był to Czarcisław, który na mapie diabeł ogo-

nem nakrył, to nawet tu dzieciaki nie miały na sobie strojów ludowych i nie pisały rylcem po glinianych tabliczkach. Wszystkie albo były wgapione w swoje smartfony, albo darły się do siebie, gestykulując przy tym tak energicznie, jakby stawką było wybicie komuś oka. I jak zawsze ten sam schemat: okularnicy w brzydkich oprawkach gapiący się w książkę albo sufit, okularnicy w modnych oprawkach gapiący się w najnowszy model iPhone'a, wreszcie nieokularnicy odpowiednio – gapiący się na opięty ciasnym T-shirtem biust nieokularnicy robiącej sobie właśnie selfie albo na nie mniej ciasną sportową koszulkę nieokularnika prężącego mięśnie. Alicja nie była uprzedzona. Alicja nie była rasistką. Alicja nie znosiła wszystkich po równo. Po kilku krokach zatłoczonym szkolnym korytarzem, które to kroki nie umknęły uwadze oblegających wszystkie ściany i załomy dzieciaków, zaczęła w myślach odliczać do dziesięciu. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... Już!

– Cześć, ty musisz być Alicja!

Zawsze to samo. Zawsze. Bo w każdej szkole już po dziesięciu sekundach znajdzie się ktoś miły, czynny i z idealnym przedziałkiem, kto będzie chciał pełnić honory pani albo pana domu i oprowadzić Alicję po szkolnych włościach, a potem od razu wpisać to sobie do przyszłego CV, które będzie potrzebne temu komuś za minimum dziesięć lat. Alicja odwróciła się. I tym razem się nie rozczarowała. Dziewczyna. Wyglądająca jak blogerka moda wystylizowana na grzeczną uczennicę bez jednego pryszcza na czole. Zapewne była wzorową

uczennicą, przewodniczącą klasy i szefową kółka zbiera-  
czy plastikowych nakrętek. Przedziałek też się zgadzał.

– O mój Boże! To wspaniale, że już jesteś! Nie mogli-  
śmy się ciebie doczekać. Nie wiem, od czego zacząć... Może  
najpierw oprowadzę cię trochę po szkole, a potem musisz  
koniecznie... A później... A jeśli starczy czasu... I wtedy...  
A na koniec...

Alicja patrzyła, jak dziewczyna bez zająknięcia wygła-  
sza tekst, przy którym monolog Hamleta był rymowanką  
dla przedszkolaków.

– Wiesz co? – Alicja pochyliła się w jej stronę.

Dziewczyna niemal na oczach Alicji natychmiast za-  
mieniła się w słuch. Zmarszczyłaby nawet czoło, żeby z jesz-  
cze większą uwagą wysłuchać nowej koleżanki, ale przecież  
jej czoło nie miało prawa się zmarszczyć.

– Taaak? – zaczęła pełnym wyczekiwania głosem.

– Wiesz, gdzie jest toaleta? Gadałaś tak długo, że za-  
chciało mi się sikać – skrzywiła się Alicja.

Dziewczyna otworzyła szeroko usta. Alicja usłysza-  
ła czyjeś pełne zrozumienia parsknięcie, ale kiedy się  
odwróciła, mignęła jej tylko zielona wojskowa kurtka,  
bardzo podobna do tej, którą sama miała na sobie. Nie  
czekając, co ma do powiedzenia jej nowa „koleżanka”,  
Alicja odwróciła się na pięcie i poszła prosto przed siebie.  
Starannie ignorowała ciekawskie spojrzenia mijanych  
dzieciaków. Była do tego przyzwyczajona. Szkoła liczyła  
niewielu uczniów i nic nie wskazywało na to, że będzie  
się można wmieszać w tłum.

– Gdzie jest pokój nauczycielski? – spytała jakiegoś chłopaka w wielkich słuchawkach. Kiwnął głową w taki sposób, że mogło to oznaczać lewo, a równocześnie drogę na Ostrołękę. Alicja westchnęła i poszła mniej więcej we wskazanym kierunku. Znalazła tylko toaletę. Zaraz, zaraz, czy obok przypadkiem nie pachnie belfrem? Mogła się tego domyślić. Pokój nauczycielski zwykle sąsiaduje z toaletą. Ciekawe dlaczego... Ciotka pamiętała o kanapkach, ale plan lekcji jakoś wyleciał jej z głowy. Alicja nie miała pojęcia, od czego dziś zaczyna. Byle nie od czegoś nudnego.

W pokoju nauczycielskim panował taki hałas, że Alicja nawet nie pofatygowała się, żeby zapukać, tylko od razu wsadziła głowę przez drzwi i się rozejrzała. Niestety, jakoś nikt nie wzbudził w niej na tyle zaufania, żeby go zagadać. A już na pewno nie ta kobieta z popielatym kokiem i w równie popielatym swetrze zapinanym na guziki, który sięgał do samej ziemi. Gdyby nie kolor dopasowany do jej włosów, przysięgłaby, że to sutanna. Jezu...

– Zgubiłaś się?

Głos wydał jej się dziwnie znajomy, a kiedy odwróciła głowę, równie znajomy wydał jej się kolor koszulki polo.

– Wiktor?

– Lepiej, żebyś nie mówiła mi tutaj po imieniu. – Mrugnął.

– Jesteś nauczycielem? – Alicja skrzywiła się mimowolnie.

– Więcej grzechów nie pamiętam – mruknął rozbawiony Wiktor. – Co się stało?

– Nie mam planu lekcji.

– Jak to nie masz? Przecież... – westchnął i przecesał włosy. – Poczekaj...

Podszedł do wielkiego planu lekcji na ścianie pod oknem i przejechał palcem z góry do dołu. Potem wziął z przegródki dziennik i gestem kazał Alicji iść za sobą.

– Zdaje się, że pierwszą lekcję mamy razem.

– Pierwszą lekcję? To znaczy co?

– Historię.

– Świetnie – skomentowała Alicja i poczłapała za nim.

– Nie lubisz historii?

– Nie bardzo. Będziesz opowiadał o tym, jak to pocieraliśmy dwa kawałki drewna, zanim pojawiły się zapalki, czy coś w tym stylu?

– Nie, to chyba opowiadałem w podstawówce – roześmiał się Wiktor. – To tu. – Stał przed klasą. – Gotowa?

– Daj spokój, robiłam to milion razy. – Alicja weszła za nim do środka.

No dobra. Na to nie była przygotowana. Klasa liczyła jakieś piętnaście osób, z czego dwie piętnaste już znała. Pod oknem siedziała dobrze jej znana blond para. Nie zmienili miny od wczoraj. Chyba nie ma szans, żeby się tu schować na tyłach i wyciągnąć książkę...

– Dzień dobry. Chciałbym wam kogoś przedstawić. To jest Alicja Korsakow i...

– Jeszcze jedna Korsakow? – Alicja usłyszała czyjś niski, lekko chrapliwy głos i odwróciła głowę. W trzeciej ławce po lewej siedział właściciel zielonej wojskowej kurtki. Takiej samej, jaką Alicja miała na sobie.

– Właściwie to nie Korsakow, a Kujadynowicz – poprawiła Wiktora.

– No tak – zreflektował się nauczyciel. – Oczywiście, przepraszam. To z przyzwyczajenia.

– To nie ma znaczenia, jak nazywa się twój ojciec, złotko. Tutaj jesteście Korsakow.

Alicja odwróciła się jeszcze raz w stronę chrapliwego głosu dołączonego do zielonej kurtki. Złotko?

– Coś ty powiedział? – syknęła.

– Spokojnie. – Wiktor położył rękę na jej ramieniu. – Nikodem, pierwsze ostrzeżenie.

Alicja zmrużyła oczy, patrząc na rzeczzonego Nikodema. Znała takich jak on. Byli zawsze. W każdej szkole. Bosko urodziwi i diablo bucowaci. Kochani i znienawidzeni jednocześnie. Ale dopóki nie skończą w pudle albo na stacji benzynowej, mogą sobie poużywać. Z czego zwykle skwapliwie korzystają.

– Czy ja coś mówię? – Nikodem podniósł ręce do góry na znak, że jest niewinny, i uśmiechnął się lekko, co sprawiło, że dziewczynom siedzącym w ławkach obok oczy zrobiły się jeszcze bardziej maślane. – Po prostu będę musiał uświadomić naszą nową koleżankę, komu zawdzięcza to, że może korzystać z dobrodziejstw tego przybytku. – Teatralnym gestem rozłożył ramiona.

– Co? – wyrwało się Alicji.

– Nikodem... – zaczął ostrożnie Wiktor.

– Nie wiedziałaś? – Nikodem udał zmartwionego. – Mój dziadek ufundował tę szkołę. I parę innych rzeczy

w tym mieście. Co oznacza w praktyce, że jestem właścicielem połowy miasta. W tym też tej szkoły. Więc jak by na to nie patrzeć, witaj w moich skromnych progach.

– Zamknij się!

Alicja nie wierzyła własnym oczom. Posągowa blond para spod okna drgnęła. Nie wiedziała, które z nich się odezwało, ale z pewnością któreś z ich dwójki przemówiło, co oznaczało, że nie są głuchoniemi, jak zaczęła już podejrzewać.

– Olga, daj spokój – westchnął zrezygnowany Wiktor. – Nie warto.

Nikodem uśmiechnął się pod nosem.

– Coś ci się nie podoba?

– Ktoś, kto powiedział ci, że twoja rodzina to jedyni założyciele miasta, pewnie nie umiał doliczyć do czterech. Pozwól, że cię oświecę, mój panie: jesteś dokładnie jedną czwartą założycieli. Jeśli, oczywiście, jesteś w stanie policzyć więcej niż do jednego. – Olga wyrecytowała to tak swobodnie i od niechcienia, jakby odczytywała tekst z promptera.

– Czasami wystarczy do jednego, jeśli ten jeden jest wystarczający. Jak mawiali w starożytności: wszystkie *zwierzęta* są *równe*, ale niektóre *równiejsze*.

– To był Orwell, młotku – syknął Borys.

– Borys! – Wiktor skarcił go już nie tylko wzrokiem. – Nikodem... Ostrzeżenie numer dwa. – Nauczyciel zaczął tracić cierpliwość.

Alicja patrzyła to na Nikodema, to na Olgę, nie mając bladego pojęcia, o co im chodzi. Klasa zdawała się wiedzieć,

w czym rzecz, bo połowa przyglądała się tej dziwnej konwersacji ze znudzeniem, druga przeciwnie – ożywiła się nagle, chociaż chwilę wcześniej wszyscy zgodnie dłubali w nosach.

– Alicjo, możesz usiąść w ostatniej ławce. – Wiktor w końcu przypomniał sobie o nowej uczennicy. – Widzę, że znów jest wolna – zauważył z przekąsem, akcentując „znowu”.

Alicja poprawiła plecak na ramieniu i poszła grzecznie do ostatniej ławki, która w tym układzie i przy takiej liczbie uczniów wyglądała bardziej na drugą, gdzie ani nie przysniesz, ani nie poczytasz. Jak oni to znoszą? Alicja wyjęła kalendarz i długopis. Nic poza tym nie zabrała.

– O, czyżby nasza nowa koleżanka nie miała książki do historii? – wyłoshił się Nikodem, odwracając się bokiem do Alicji, a w międzyczasie puszczając oko do swojej sąsiadki, która prawie się rozplynęła.

– Może oddasz mi swoją, bo widzę, że żadnej nie używasz? – syknęła Alicja.

– Niewyparzona gęba. – Pokiwał z uznaniem głową. – Jesteś Korsakow. – Wymierzył w nią palec wskazujący i mrugnął. – I wiesz co? Coraz bardziej mi się podobasz.

– Nikodem, dosyć tego! – Wiktor ewidentnie stracił cierpliwość. – Do dyrektorki!!!

– Z przyjemnością. – Z elegancją godną Daniela Craiga Nikodem wstał, zgrabnie zgarnął swoje rzeczy z ławki i sięgnął po torbę. – Aha, taki drobiazg – mruknął, mijając Wiktora. – Może pan opuścić kołnierzyk? Od postawionego



kołnierzyka koszulki polo prosta droga do skarpet w sandałach.

– Wyjdź!!! – ryknął Wiktor.

Alicja aż podskoczyła, ale na reszcie klasy nie zrobiło to żadnego wrażenia. Wygląda na to, że nie takie historie działy się na lekcji historii. Wiktor otworzył podręcznik i najspokojniej w świecie zaczął mówić coś o rewolucji francuskiej, a Alicji ktoś usłużnie podsunął podręcznik, co zupełnie zignorowała. To wszystko było dziwne. Bardzo dziwne... A jak wiadomo, zasada jest jedna: dziwnie, dziwniej, a potem to już tylko Stephen King. O co tu chodzi? Najpierw ten buc, który robi za Rockefellera, później blondasy spod okna złamały śluby milczenia i przemówiły, na koniec jakaś absurdalna pyskówka na temat tego, kto założył to zadupie. To jakaś paranoja. Na dodatek siedziała w ostatniej ławce, która równie dobrze mogła być pierwszą, bo i tak była na widoku, a zachowała jeszcze jakieś resztki przyzwoitości, żeby nie czytać na wprost Wiktora, którego całkiem niechętnie polubiła. I zupełnie nie mogła zrozumieć, co w nim przeszkadzało ciotce, bo chyba nie ten nieszczęsny kołnierzyk. Alicja zerknęła na zegarek. Minęło sześć minut. Świetnie.

Sympatia sympatią, ale nie da rady dłużej. Podniosła rękę.

– Tak, chciałaś coś dodać? – spytał Wiktor.

Dodać? Co? Do czego?

– Mogę wyjść na chwilę?

Borys i Olga równocześnie odwrócili się w jej stronę z tym samym wyrazem twarzy co zawsze. Co znowu? Nie ma tu kibla czy co?

– Do toalety... – zaczęła ostrożnie, na wypadek gdyby się okazało, że faktycznie go nie ma.

– Jasne – westchnął nauczyciel.

Alicja z ulgą podniosła się z krzesła. Od biedy mógł pomyśleć, że to z powodu wstrzymywanego moczu, a nie z racji najnudniejszej lekcji historii... w historii. Ruszyła do drzwi, a na plecach czuła wzrok bliźniaków. Rozejrzała się po pustym korytarzu. Gdzie jest WC? Postanowiła zaufać intuicji i udać się w najmroczniejszy zakamarek korytarza, gdzie żadnemu nauczycielowi nie będzie się chciało zaglądać. Alicja otworzyła drzwi. Tym razem przyjęła z ulgą fakt, że tylko ona wpadła na pomysł przesiedzenia części lekcji w kiblu. W większości szkół zawsze trafiała na szersze grono Leserów. Ale tutaj chyba nikomu to jeszcze nie przyszło do głowy. Albo, co gorsza, w ogóle nie przyszło do głowy. Pochyliła się nad umywalką i popatrzyła w lustro. Zrobiła kilka głupich min do swojego odbicia i westchnęła znudzona. Nagle drgnęła, bo drzwi ostatniej kabiny otworzyły się z trzaskiem. Odwróciła się i zobaczyła zwisające z parapetu nogi w converse'ach. Podeszła bliżej. Pociągnęła drzwi kabiny. Na parapecie siedziała dziewczyna, która wyglądała jak blogerka reklamująca dom mody należący do rodziny Adamsów. Długa czarna spódnica, czarny koronkowy top, krótka skórzana kurtka. Oczywiście też czarna. Upiorny ciemny makijaż, który, o dziwo, idealnie pasował do jej cygańskiej urody. Czarne włosy miała upięte w niedbały kok, a pojedyncze kosmyki spadały jej na twarz. Nic dziwnego, że tu siedzi. Chyba nikt jej w tym stroju nie wpuścił do kla-

sy. Na tym zadupiu zapewne obowiązuje raczej zestaw granatowa spódniczka i biała bluzka. Albo chociaż granatowa koszulka polo... Dziewczyna, która wychylała się przez parapet otwartego okna, cofnęła się do środka i Alicja szybko zorientowała się, w czym rzecz.

– Chcesz macha? – Dziewczyna wyciągnęła w jej stronę wypalonego do połowy papierosa.

Alicja skrzywiła się.

– Nie, dzięki.

Nie to, że brzydziła się papierosem, ale brzydziła się tym konkretnym papierosem. Nigdy nie rozumiała, jak ludzie mogą się wymieniać papierosem. Albo pomadką. Albo kanapką. A nie. To tylko kobiety.

Dziewczyna roześmiała się gardłowo.

– A więc ty jesteś Alicja...

– Jeszcze raz to usłyszę i odgryzę sobie głowę. Albo komuś – warknęła Alicja.

Czarnowłosa popatrzyła na nią uważnie i wybuchnęła śmiechem.

– Jestem Natasza. – Przełożyła papierosa do lewej ręki, a prawą podała Alicji.

– Alicja... A zapomniałam, to już wiesz... – mruknęła Alicja. – Wszyscy to wiedzą.

Dziewczyna popatrzyła na nią uważnie.

– Jaja sobie robisz? Wszyscy czekali na ciebie jak na papieża.

– Jacy znowu wszyscy?

– No dobra, może nie wszyscy, ale chyba wiesz, po co tu jesteś?

– Tak, żebyś wiedziała, że wiem. Po to, żeby się zanu-  
dzić na śmierć.

Natasza zaciągnęła się papierosem i pokiwała głową.

– Święta prawda. – Zaciągnęła się jeszcze raz. – Z cze-  
go zwałaś?

– Z historii. – Alicja oparła się o ścianę kabiny. Za-  
pach tytoniu drażnił jej nozdrza. Miała ochotę na papie-  
rosa.

– Noooo... to moje gratulacje. Wiktor jest śmiertelnie  
nudny, ale jak się z nim zabawisz, to będzie trochę cieka-  
wiej. Jak tak zawsze robiłam, dopóki się nie znudziłam ro-  
bieniem go w jajo.

– Co? – Alicja zmarszczyła czoło. O czym ona mówiła,  
do cholery?

– No wiesz... – Natasza uśmiechnęła się, lekko podno-  
sząc brew.

– Nie, nie wiem.

– O Boże... – Oczy Nataszy zrobiły się jeszcze większe,  
o ile było to możliwe w przypadku kogoś, kto ma oczy jak  
spodki. – Jesteś dziewicą!

– Co???

– O rany... – Natasza zasłoniła ręką usta. – Nie wierzę!  
Jesteś...

– A ty jesteś popieprzona! – Alicja trząsnęła drzwiami  
kabiny i wypadła z łazienki. Nie, to się nie dzieje naprawdę.  
Tym razem jestem w najprawdziwszym piekle, pomyślała.  
Tylu idiotów naraz nie spotkała w żadnym innym szkolnym  
piekle. I to w ciągu pierwszej godziny.

Kiedy wróciła do klasy, bliźniaki spod okna bacznie jej się przyglądały. Jakby nie wierzyły, że naprawdę była w WC. I co teraz? Ma im pokazać zużyty papier toaletowy, żeby uwierzyły i przestały się gapić? Przez resztę lekcji liczyła kratki na spódniczce dziewczyny siedzącej przed nią. Na dźwięk dzwonka pierwsza zerwała się z miejsca. Wiktor chciał ją chyba o coś zapytać, ale udała, że tego nie widzi. Jakoś nie miała ochoty mu mówić, że właśnie przeżyła najnudniejsze pół godziny od niepamiętnych czasów (odjęła sobie kwadrans na ceremonię powitalną i wizytę w łazience). Z impetem pchnęła drzwi i od razu wpadła na kogoś, kto szedł korytarzem. Alicja usłyszała dźwięk spadających podręczników.

– Hej, uważaj!

– Prze... – zaczęła, ale kiedy zadarła głowę, żeby spojrzeć w twarz ofierze własnej niezdarności, natychmiast zamilkła. Stała oko w oko ze znajomą zieloną, wojskową kurtką. I bucowatym wyrazem twarzy.

– Aaaa... to ty. – Uśmiechnął się Nikodem, mrużąc oczy. – W takim razie uważaj podwójnie.

– Słucham? – syknęła Alicja. – To lepiej ty uważaj!

– Uuuu... Zaczyna się... – Nikodem zniżył głos i pochylił się w stronę Alicji. – A ja myślałem, że się dla odmiany zaprzyjaźnimy. Skoro mamy podobny gust... – Spojrzał wymownie na jej kurtkę.

– To damska kurtka – zauważyła złośliwie Alicja.

– Czyżby? Na tobie wygląda bardzo męsko.

Alicja zacisnęła zęby.

– Potraktuj to jako komplement. – Mrugnął do niej i schylił się po książki.

A niech cię jasna cholera! – pomyślała Alicja, zaciskając coraz mocniej zęby. W tym momencie pochylającemu się Nikodemowi pękła kurtka na plecach. Alicja parsknęła śmiechem. Szkoda, że to nie jeansy. Jak na zawołanie usłyszała trzask rozdzieranego materiału. W spodniach Nikodema pojawiło się rozdarcie. Dziewczyna otworzyła usta, zapominając, jak głupio się wtedy wygląda. Kilka osób roześmiało się, ale po chwili zapadła grobowa cisza. Nikodem bardzo wolno się podniósł.

Cisza była coraz bardziej dojmująca. Wszyscy zamilkli, jakby ktoś wyłączył dźwięk. Alicja poczuła się nieswojo. I co teraz? Wstanie i jej przyłoży? Na oczach całej szkoły? Chyba nie jest aż tak głupi... Nikodem wyprostował się i odwrócił w stronę Alicji. Na ustach miał dziwny uśmieszek. Dziewczynę oblał zimny pot. Chłopak zdjął kurtkę i został w czarnym podkoszulku.

– Dobrze, zrozumiałem. Raczej się nie zaprzyjaźnimy.

Alicja patrzyła na niego ogłupiała. Czy on myśli, że to przez nią pękło mu ubranie? Idiota.

– No chyba że chodziło ci o to, żeby mnie zobaczyć w bieliźnie. – Zanim Alicja zdążyła się zorientować, Nikodem zsunął najki, a potem jeansy. Teraz stał przed nią w samych bokserkach.

– Wystarczyło poprosić. – Mrugnął do niej, po czym wsadził rzeczy pod pachę i w asyście zaciekawionych spojrzeń rozchichotanych dziewczyn powoli się odwrócił

i równie wolno ruszył korytarzem, jakby szedł po wybiegu.

Alicja uświadomiła sobie, że wciąż ma otwarte usta. Zamknęła je szybko, choć nadal nie docierało do niej, co właśnie zaszło.

– Wszystko OK?

Obejrzała się. Bliźniaki. Nie wyglądały na bardzo zaskoczone. Może takie akcje zdarzały się co drugi dzień i będzie musiała przywyknąć.

– Tak – mruknęła, poprawiając plecak.

– To buc – stwierdziła z przekąsem Olga.

– A nawet król wszystkich buców – dodał Borys.

– Zdążyłam zauważyć. – Alicja wypuściła długo wstrzymane powietrze.

– Jestem Borys – przedstawił się blondas. – A to moja siostra Olga.

– Serio? Jesteście spokrewnieni? – mruknęła Alicja. Boże, czy ten dzień może być jeszcze gorszy?

– Dobrze! – Borys pokiwał z uznaniem. – Nikt nas o to wcześniej nie pytał, prawda? – Odwrócił się w stronę siostry. Ta parsknęła śmiechem, ale bez entuzjazmu.

– Słuchaj... – zaczął. – Wiem, że musi ci być ciężko w nowej szkole, więc...

– Ile razy zmieniałeś szkołę? – spytała Alicja.

– No...

– No właśnie. Więc gównie wiesz na ten temat.

Borys przełknął gładko słowo na „g”.

– OK, masz rację. Nic nie wiem, ale może mógłbym jakoś pomóc...

– Nie, nie mógłbyś. Nie szukam ani oprowadzacza, ani kumpla, ani chłopaka, jak w jakimś *Zmierzchu*, gdzie dziewczyna pierwszego dnia musi koniecznie poznać kogoś kołesia, bo inaczej nie będzie o czym robić filmu. Nie do zobaczenia!

Alicja odwróciła się na pięcie. Bliźniaki obserwowały ją przez chwilę, dopóki nie zniknęła na końcu korytarza.

– Brawo, po prostu brawo – mruknęła Olga.

– Dzięki, że mnie wspierasz – westchnął Borys.

– Nie, naprawdę, braciszku, niezły z ciebie casanova. – Olga poklepała go po ramieniu. – To pewnie dlatego nie masz dziewczyny.

– Nie mam dziewczyny, bo zanim któraś się zorientuje, że jesteś moją siostrą, wszystkie myślą, że jesteśmy razem.

– No popatrz, to zupełnie jak ze mną!

– Też masz problem ze znalezieniem dziewczyny? – Borys popatrzył na siostrę z udawaną troską.

– Idiota! – syknęła Olga, a zaraz potem uderzyła go lekko z łokcia.

Borys oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi.

– To się nie uda – powiedział przez zęby.

Olga niemal odruchowo stanęła w takiej samej pozycji.

– Po raz pierwszy w życiu muszę ci przyznać rację.



Po czterech godzinach najnudniejszych lekcji w życiu Alicja czuła się tak zmęczona, jakby ktoś kazał jej się ścigać z Usainem Boltem w kolejce do kasy w supermarkecie. Rysowanie bazgrołów, liczenie kratek na spódnicy



dziewczyny, która bez względu na lekcję wciąż siedziała przed nią, a nawet próby spania z otwartymi oczami i osiągnięcia nirwany nie sprawiły, że czas nagle przyspieszył. Einstein nie miał racji. Czas nie był względny. Był bezwzględny. Szczególnie dla Alicji i szczególnie dzisiaj. Nawet ulubiona biologia w wydaniu kobiety w swetrosutannie i koku, w którym na pewno coś mieszkało, obrzydła Alicji resztę dnia. W międzyczasie musiała odpierać ataki coraz to nowych oprowadzaczy, którzy koniecznie chcieli ją a) poznać, b) oprowadzić, c) wpisać to sobie potem w CV. Zdecydowanie wołała już ciekawskie spojrzenia i konspiracyjne szepty za plecami. Po czwartej lekcji wreszcie miała dwadzieścia minut na to, żeby pobyć sama ze sobą. Cała szkoła wyległa na zewnątrz, bo pogoda zachęcała wszystko, co żyje, do wyjścia na dwór i wyciągnięcia kanapek. Zwłaszcza wszystkie szkolne pary, które rozłożyły się w najbardziej widocznych miejscach bynajmniej nie po to, żeby pośniadaniować, ale żeby się pomigdalić. Bo to jest obowiązek każdej szkolnej pary: migdalić się na oczach wszystkich, na wypadek gdyby ktoś miał jakieś wątpliwości, czy są razem, czy nie. Może oni wszyscy są bezdomni i nie mają gdzie tego robić? Skoro szkolny plac i murawa były zajęte przez sklejonych ze sobą nastolatków, Alicja uznała, że boisko nie jest okupowane przez nikogo. Miała rację. Znalazła kawałek wolnego miejsca pod drzewem. Usiadła po turecku i odważyła się w końcu zajrzeć do torby, którą obdarowała ją rano ciotka.

– Mogę się przysiąść?

Alicja już miała uprzejmie odwarunknąć, co myśli o takiej ewentualności, ale kiedy zobaczyła granatową koszulkę polo, odetchnęła z ulgą.

– Pod warunkiem że nie będziesz mnie pytał, jak mija mi pierwszy dzień w szkole, bo od razu mogę ci powiedzieć, że jest do dupy.

– Aż tak źle? – Wiktor usiadł obok niej na trawie, wyciągnął kanapkę i odkręcił butelkę wody mineralnej.

– Gorzej niż źle – mruknęła. – Nigdy w życiu nie byłam w takiej budzie. Masakra...

– OK. To chyba nie jest to, co chciałby usłyszeć nauczyciel...

Alicja miała tylko nadzieję, że nie zapyta jej o swoją lekcję, bo kłamanie z tak bliskiej odległości zawsze sprawiało jej problem.

– Sorry, to nic osobistego. – Uśmiechnęła się Alicja. – Po prostu wszędzie było beznadziejnie, a tutaj jest beznadziejnie i dziwnie na dodatek. Najpierw ten buc...

– Nikodem.

– No właśnie. Potem ta pyskówka między nim i blondasami...

– Olgą i Borysem.

– No właśnie. Nie wiem zupełnie, o co im chodziło, na dodatek próbowali mnie w to wszystko wmieszać. Na koniec ta upiorna dziewczyna w łazience...

– To pewnie Natasza. – Wiktor pokiwał głową. – Podczas historii mogła być tylko w łazience.

– Nie kumam tego. O co im chodziło? I dlaczego ten cały Nikodem tak się mnie uczył?

- Bo jesteś jedną z nich.
- To zabrzmiało sekciarsko. Możesz jaśniej?
- No dobra – westchnął Wiktor. – Rozumiem, że Tatiana nie zdążyła cię wtajemniczyć.
- W co?
- Należysz do rodziny założyciela miasta.
- Tego zadupia? – Alicja podniosła brew z niedowierzania.
- Tak. Wbrew pozorom to miasteczko ma bardzo ciekawą historię. I ona wiąże się właśnie z jego założycielami.
- To znaczy? Nawijaj!

Wiktor pociągnął łyk wody i otarł usta wierzchem dłoni.

– Mówi się, że w jedenastym wieku przybyła tu czwórka przyjaciół i założyła to miasteczko w, powiedzmy, niecodziennych okolicznościach – zaczął, jakby oprowadzał wycieczkę emerytów. – Mikołaj Dobrygin – przodek Nikodema, Osip Zemrow – przodek Olgi i Borysa, Paweł Soficz – przodek Nataszy. Czwartym był Igor Korsakow. Brzmi znajomo?

- Może to tylko zbieżność nazwisk?
- Nie. Absolutnie nie. Bardzo się przyjaźnili, ale kiedy dorośli, każdy z nich chciał opuścić wieś, żeby poszukać innego miejsca dla siebie. Przypuszczalnie każdy chciał założyć własną. Według legendy rozeszli się na cztery strony świata, ale dziwnym zbiegiem okoliczności wszyscy spotkali się w tym samym miejscu. Przy czarcim kamieniu.
- Czarcim?
- Tak się mówi o głazach z lądolodów skandynawskich, ale też o kamieniach, które mają dość osobliwy wygląd.

– Że niby to czaricia sprawka? – roześmiała się Alicja.

– Właśnie.

– I tyle?

– Niezupełnie. – Wiktor pociągnął kolejny łyk wody. – Jest inna, bardziej, powiedziałbym, efektowna wersja tej legendy. Mówi ona, że tak naprawdę wszyscy zostali wypędzeni z rodzinnej wioski.

– Dlaczego?

– Za paranie się czarną magią. Za kontakty z diabłem. Wypędzono ich jednego dnia, każdego w inną stronę świata, żeby nie mogli się spotkać. Ale mimo że każdy poszedł w inną stronę, wszyscy i tak spotkali się w tym samym miejscu. Przy czarcim kamieniu. Tam też podobno udało im się wywołać diabła i dobić z nim targu.

– To by wyjaśniało tę idiotyczną nazwę... – zasępiła się Alicja. – Czarcisław. No tak. Sławili diabła. Czyli co? Sprzedali duszę? Za kasę i panienki? Jak zawsze w takich historiach...

– Niezupełnie. Diabeł miał zażądać od nich, żeby w każdym kolejnym pokoleniu oddawali mu jednego potomka.

– Czyli prehandlowali duszę kogoś, kto kompletnie nie miał z tym nic wspólnego?

– To nie tak. W każdym pokoleniu miało urodzić się jedno dziecko obdarzone jakimiś magicznymi właściwościami. I tylko od niego miało zależeć, czy zaprzeda swoją duszę diabłu, czy nie. W tym właśnie rzecz. Diabeł nie zabierał nikogo wbrew jego woli. To by było zbyt proste. Jesteś

zły i kropka, bo nie masz żadnego wyjścia. A tu masz wybór. I to właśnie ten wybór jest najtrudniejszy. Ten ktoś, kto został obdarzony magiczną siłą, sam decydował, po której stronie się opowie. A pokusa była bardzo silna. Więc większość przechodziła na ciemną stronę mocy. Bo tak było wygodniej. Ale znaleźli się i tacy, którzy zdecydowali się oprzeć tej pokusie. I tacy, którzy sobie nie poradzili z tym wyborem, presja była zbyt duża i... No wiesz. Jak to w życiu.

– I co? Koniec historii?

– Nie, jest jeszcze coś. Ponoć istnieje sposób na złamanie tej klątwy.

– Jaki?

– Jeżeli czwórka potomków założycieli pochodząca z jednego pokolenia opowie się przeciwko diabłu i odprawi rytuał odwołujący, klątwa zostanie złamana. Potomkowie zostaną pozbawieni magicznych mocy, a następne pokolenia będą już wolne od tego brzemienia.

– Rytuał? Już to widzę... – mruknęła Alicja. – Orgia w imię szatana. Zawsze się znajdzie usprawiedliwienie, nie?

– Masz trochę racji – roześmiał się Wiktor. – Bo do pełnego rytuału, oprócz, oczywiście, kielicha, z którego pili założyciele, i inwokacji, potrzeba odrobinę naturalnej magii. A nie ma nic bardziej naturalnego niż miłość i pożądanie.

– Czyli jednak... – zachnęła się Alicja.

– To nie tak. – Wiktor pokręcił głową. – Nie chodzi o to, żeby, no wiesz... uprawiać seks w trakcie rytuału czy coś w tym rodzaju. Chodzi tu bardziej o wykorzystanie naturalnej energii pochodzącej z uczucia zakochania albo na-

pięcia erotycznego między... Czy ja naprawdę muszę ci to wszystko tłumaczyć? Czuję się trochę... niezręcznie.

– Nie, nie musisz, wiem, w czym rzecz – roześmiała się Alicja. – Czekaj, ale to znaczy, że według tej historyjki nikomu jeszcze się to nie udało?

– Nie. Ale to przecież tylko legenda.

– I skąd ty to wszystko wzięłaś?

– Jak to skąd? Z biblioteki. Jako nauczyciel historii muszę wiedzieć takie rzeczy o swoim mieście. – Wiktor sięgnął po kanapkę.

– Boże, co za bzdury... Ale chyba w to nie wierzysz, prawda? – upewniła się.

Wiktor przełknął pierwszy kęs kanapki.

– Nie, oczywiście, że nie. Zresztą, prawie każda miejscowość ma taką historię. Ludzie muszą sobie jakoś wytłumaczyć różne, zwłaszcza te dziwne, rzeczy. Tutaj tak sobie to wytłumaczono. Nazwę, kamień, wszystko.

– Tylko mi nie mów, że ten kamień naprawdę gdzieś tu leży... – Alicja przewróciła oczami.

– Leży. Oczywiście, że leży. Zaraz za cmentarzem jest taki duży, dość dziwny kamień, który nazywany jest czar-cim. Tam też zresztą odbywa się częściowo zabawa w czasie dziadów i nocy Walpurgi.

– Czego? – zdziwiła się Alicja.

– No dziady to takie trochę Halloween, a noc Walpurgi to takie letnie Halloween – powiedział z rozbawieniem Wiktor. – To święta, które w różnych częściach Europy mają swoje nazwy, ale generalnie dotyczą tego samego. To noc

duchów. Głównie tych złych. Legenda mówi, że założyciele musieli wywołać diabła w któreś z tych dwóch świąt. I że odwołać go można również tylko wtedy. Pewnie też dlatego w miasteczku świętuje się i dziady, i noc Walpurgi, ale wiesz, bardziej na zasadzie żartu. To trochę już taka nasza tradycja.

– Jak cukierek i psikus? – mruknęła Alicja. – Boże, co za brednie...

– Czy ja wiem? Ludzie się dobrze bawią i mają coś, z czego są dumni.

– Z wywoływania diabła? Żartujesz?

– Nie, dlaczego? Takie historie czynią miasteczko wyjątkowym. Dlatego Nikodem, Olga i Borys tak często drą koty. A jak dołączy do nich Natasza, to robi się naprawdę nieznośnie. Mają coś, czym mogą się pochwalić. Co ich odróżnia od innych. Każdy chce się poczuć ważny. Wyjątkowy. To nieodłączna część bycia nastolatkiem. – Wiktor pochłonął ostatni kęs kanapki.

– Ja tak nie mam – powiedziała twardo Alicja. – Myślisz, że powinnam dołączyć do tego idiotycznego klanu, żeby poczuć się lepiej? – spytała z nutką ironii.

– Nie, wcale tak nie uważam. Po prostu trochę ich rozumiem. Każdy z nich chce się jakoś wyróżnić. Nikodemowi to potrzebne do utrzymania się na fali...

– ...i robienia wrażenia na laskach – dodała niechętnie Alicja.

– Pewnie też – roześmiał się Wiktor. – Natasza potrzebuje tego, żeby jeszcze bardziej zniechęcić do siebie oto-

czenie, ale tak naprawdę właśnie przez to stać się bardziej zauważalną. Chyba tylko Olga i Borys traktują to na serio.

– W sensie czężą diabła i takie tam?

– Nie, bardziej chodzi mi o to, że mają poczucie, że są częścią czegoś ważnego i odpowiadają za wizerunek swojej rodziny. To porządne dzieciaki. Nie miały lekko w życiu. Zresztą, które z nich miało? Rodzice Nikodema zginęli w katastrofie lotniczej, Nataszy – podczas wyprawy w góry, a Olga i Borys nawet nie poznali swoich.

Alicja przez chwilę poczuła cień sympatii do nich wszystkich. Pomyślała, że może nie powinna być taką żoną dla Borysa. Ale zaraz potem przypomniała sobie Nataszę i bucowaty uśmiezek Nikodema i od razu jej przeszło.

– Nikodem to dupek – mruknęła bardziej do siebie niż do Wiktora.

– To prawda, więc lepiej na niego uważaj.

– Dziwne, powiedział mi dokładnie to samo, co ty – zauważyła ironicznie Alicja.

– Może sam zdaje sobie z tego sprawę – uśmiechnął się Wiktor. – Muszę lecieć. – Podniósł się, prostując ścierpniętą nogę.

– Jasne. – Alicja machnęła ręką.

– Do zobaczenia później. – Uśmiechnął się i pomachał jej na pożegnanie.

– Wiktor?

– Tak? – Odwrócił się.

– Fajny jesteś, wiesz? Tylko faktycznie nie podnoś kołnierza tej koszulki. To lamerskie. – Mrugnęła do niego.



– OK, dzięki. Zapamiętam. – Roześmiał się. – Ty też jesteś fajna, Alicja.

– No raczej – parsknęła śmiechem. – O co wam poszło z ciotką? – dodała po chwili.

Wiktor westchnął głęboko.

– Szczerze?

– Tak, poproszę.

– Nie mam zielonego pojęcia. – Rozłożył bezradnie ręce. – Po prostu zerwała ze mną i tyle.

– Głupio zrobiła – powiedziała Alicja, rozpakowując torbę z drugim śniadaniem.

– Dzięki – uśmiechnął się Wiktor. – I wiesz co? Jeśli to jest sałatka warzywna Tatiany, to lepiej jej nie jedz, OK?

Alicja spojrzała na pudełko, które trzymała w ręku.

– OK – mruknęła i otworzyła je. W środku oczywiście była sałatka warzywna.

